

odgłosy



Nr 21 (325)
24. V. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: **Imieniny u Kipy** • **Zbuntowana Kolumbia** • **Nie od razu Kraków zbudowano** • **Obrazy z blachy** • **Sztuka „dobrze zrobiona”** • **Gorączka** • **Wiersze** • **Polonica** • **Felietony** • **Recenzje**

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Zielone LISTY

(Fragment powieści)

Bocianiaki, 6. IV. 60.

SZANOWNA PANI!

Zdziwi się Pani zapewne tym listem. Piszę konwencjonalnie: „zdziwi się Pani zapewne”, choć właściwie nie ma to żadnego sensu. Czy się Pani zdziwi czy nie — to nieważne. Ważne, że mogę odesłać Pani książkę. Wstyd mi, że dopiero teraz, ale... Proszę o wyrozumiałość i odrobinę cierpliwości. Zaraz wszystko wytłumaczę i mam nadzieję, że uzyskam przebaczenie. Niech Pani posłucha.

Dwa tygodnie temu w pociągu pedzającym przez dość jednostajną równinę siedziała piękna pani. Sądziła, że dlatego, iż krajobraz za oknem nie był zbyt atrakcyjny (pola, pola, tu drzewko, tam dwa drzewka, tu chajupka, tam domek) owa młoda i piękna pani cały czas zatopiona była w lekturze. Dawała to prosić mi wybaczyć nieco starszemu wyrażeniu, ale pani o której pisałem miała w sobie coś z bohaterki dzieł wiekoprawnych powieści o jasnym i wysokim czole, o drobnych i kształtnych ustach i spojrzeniu zamkniętym, głębokim (może rozmarzonym) tylko raz popatrzyła na siedzącego naprzeciw niej pasażera. Ów przygodny towarzysz podróży bladził daleko myślami, co mu wcale nie przeszkadzało obserwować (dyskretnie naturalnie) młodej i interesującej pani. Mimo że ubrana była w podróżny płaszcz, wyobraził ją sobie w krynolinie w powozie, jadącą na dwuletniastowieczny bal. Potem zobaczył ją, jak wiruje w takt walczyka pośród ogromnej sali oświetlonej blaskiem świec, wśród mnóstwa tańczących par. Jej uroda budzi podziw wszystkich. Duży de-

kolt odsłaniał jej wysokie piersi (proszę mi wybaczyć, ale to wszystko przecież w fantazji, w nie napisanej powieści), cudowne, białe ramiona i pięknie ukształtowaną szyję. Tańczyła lekko, jakby płynęła w powietrzu. Podłoga sali odbijała dźwięk jej krynoliny, a pani z głową nieco odchyloną do tyłu uśmiechała się tajemniczo do swego tancerza, oparłszy swą drobną rączkę ufnie na jego ramieniu. Rytm pociągu zaczął przypominać rytm staroświeckiego walczyka (o jakże piękne były te staroświeckie walce), a piękna pani (ta już w rzeczywistości) wciąż czytała książkę. Od czasu do czasu unosiła wzrok znad otwartych kartek i patrzyła nie widzącym wzrokiem na mijane pola, na krajobraz tak monotony i powszedni, że nie mógł na dłuższy moment przyciągnąć jej uwagi. Na siedzącego naprzeciw niej pasażera pani nie spojrzała już więcej. Raz go tylko kopnęła (och! prosić tego nie brać zbyt dosłownie). Po prostu pani ta, której widocznie ścierały nogi, rozprostowała je zbyt energicznie. Pasażer był nawet z tego zadowolony, sadził bowiem, że stanie się to okazją do rozmowy z piękną nieznajomą, ale ona baknęła „przepraszam” nie odrywając wzroku od książki i w ten sposób zakończył się wszelki z nią kontakt. Pociąg dojeżdżał właśnie do przystanku Słodyszek Rzepakowy (może zresztą był to Rzepak Słodyszkowy — na tej trasie same takie jakieś nazwy). Pociąg zatrzymał się. Wówczas to piękna pani spojrzała w okno i nagle poderwała się z ławki. Słoneczna energicznym ruchem do walizki, w pośpiechu zrzuciła ją na podłogę, chwyciła powtownie i szybko wybiegła z przedziału. Pociąg ruszył. Pasażer wstał i wychylił się przez okno. Zobaczyć otwartą walizkę. Obok niej kłębała na ziemi piękna pani zbierając rozrzucone rzeczy. Widocznie musiała z ruszającego już pociągu wyrzucić walizkę



i wyskoczyć w ślad za nią. Pociąg oddalał się od przystanku. Pani zamknęła walizkę, wstała z ziemi otrzepując płaszcz. Nagle spojrzała w stronę coraz bardziej oddalającego się pociągu. Pasażerowi wciąż

Dalszy ciąg na str. 6

WŁADYSŁAW
ORŁOWSKI

VIVANT PROFESSORES!

Pojubileuszowe refleksje

Gdy te słowa dotrą do Czytelnika, uroczystości jubileuszowe 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego będą już właściwie ukończone, choć rok jubileuszowy trwa do jesieni. W każdym bądź razie szacowna uczelnia krakowska weszła w dniu 12 maja w swój rok 601. Prasa, radio, telewizja, film — cała gama nowoczesnych środków masowego przekazu wiadomości wprzagnięta była w informowanie kraju o przebiegu krakowskich obchodów. W sensie relacji niewiele więc byłoby do dodania.

Chyba to, że takiego nasilenia imprez nie było w Polsce od lat dziesięciu, to jest od warszawskiego festiwalu młodzieży. Ze zawsze piękny Kraków, przybrał na te dni szatę wyjątkową, zdobiąc i iluminując swe

zabytki jak nigdy dotąd. Wreszcie, że nie widział jeszcze nasz kraj takiej ilości zagranicznych uczonych (w materiałach biura prasowego jubileuszu widnieją nazwiska ponad stu uczonych z dwudziestu krajów, w tej liczbie wielu rektorów m. in. takich uniwersytetów jak: Wiedeń, Paryż, Praga, Nowy Jork, Bruksela, Amsterdam, Kopenhaga, Berlin, Kijów, Sofia, Bukareszt, Montreal, Rabat, Meksyk, Belgrad, Helsinki i Oslo), przybyłych w oficjalnych delegacjach, w całym sztafażu uroczystych strojów i z majestatem ceremoniałem.

Widowisko było naprawdę imponujące i każdy, kto je przeżył, zachowa pewno na długo wspomnienia. Ale pisząc ten artykuł, postanowiłem skupić uwagę nie na zewnętrznej stronie zagadnienia, gdyż jak pisałem powyżej,

wiadomości o niej dotarły szeroko do społeczeństwa. Chodzi mi o trochę uwag natury refleksyjnej, bo wydarzenia dużego formatu mają to do siebie, że do refleksji nakłaniają.

Zacznę może od tego, czemu należy przypisać tak wielki zasięg uroczystości, tak poważny ich oddźwięk w sferach naukowych całego świata. „Przekrój” zamieścił tabelkę, według której Uniwersytet Jagielloński, znajdując się na ósmym miejscu wśród najstarszych uczelni Europy; a tym samym i świata. Wyprzedzają go tylko na tej liście uniwersytety w Bolonii, Paryżu, (Sorbona), Cambridge, Oxfordzie, Padwie, Salamancie i Pradze. Najstarszy uniwersytet boloński liczy sobie lat 845, ale i 600 lat krakowskiej uczelni to wiek bardzo sędziwy. Drugi moment, nadający szczególną rangę UJ w świecie, to znakomite tradycje tej uczelni, wśród których gwiazdą pierwszej wielkości błyszczy nazwisko Mikołaja Kopernika. Ale i to jeszcze nie wy-

czerpuje zagadnienia. Okres, gdy Uniwersytet Jagielloński powstawał, charakteryzował się integracją nauki. Stabe jeszcze wówczas więzi narodowe nie stanowiły przeszkody w nawiązywaniu bliskich kontaktów między uczonymi, w szczerej wymianie wyników badań naukowych, w podejmowaniu licznych podróży zagranicznych i składaniu sobie przez uczonych wzajemnych wizyt. Swobodnie krążyły również dzieła naukowe, a obcokrajowiec jako wykładowca na uniwersytecie był zjawiskiem powszechnym. Wystarczy wspomnieć, że wielu absolwentów UJ wykładło w najdostojniejszych uczelniach włoskich w Bolonii, Padwie i Ferrarze.

Później nadeszły jednak czasy pogłębiania się granic pomiędzy narodami, zastrzeżenia się konfliktów i rozpalać nacjonalizmów.

Dalszy ciąg
na str. 3

POKŁOSIE KALISKIE

Czwarte Kaliskie Spotkania Teatralne mamy już za sobą.

W dniach od 2 do 12 maja w pięknym mieście nad Prosną teatry Warszawy, Łodzi, Poznania, Lublina, Zielonej Góry, Koszalina, Gniezna i Kalisza prezentowały swoje najlepsze przedstawienia sztuk polskich i obcych. Mogliśmy więc obejrzeć „Nieboską komedię” Krasńskiego i „Wesele” Wyspiańskiego, „Nocną opowieść” Chońskiego i „Strzały na ulicy Długiej” Świrszczyńskiej, „Wilków w nocy” Rittnera i „Świadków” Różewicza, „Partię na instrument drewniany” i „Szachy” Grochowiaka, a także „Tlen” Szypulskiego, zaś z klasyki światowej — „Wiele hałasu o nic” i „Makbeta” Szekspira, „Szkołę żon” Moliere’a i „Zielonego Gila” Tirsde Moliny. W Festiwalu Kaliskim wzięły udział trzy łódzkie teatry: Nowy, Powszechny i Jaracza, prezentując „Czerwoną magię” Ghelderode’a i „Kafki” Winclberga oraz „Malatestę” Montherlanta i „Pielęgniarki” Wawrzyniaka.

Jeżeli chodzi o nagrody, najwięcej zebrał ich Teatr Nowy. (O nagrodach dla teatrów pozalódzkich nie piszemy, gdyż obszernie informowała o tym prasa codzienna). Nagroda Prezydium Rady Narodowej m. Kalisza za najlepsze przedstawienie dramaturgii światowej przypadła w udziale „Czerwonej magii” Ghelderode’a. Nagrody indywidualne pierwszego stopnia otrzymali: Tadeusz Minc — za reżyserię „Czerwonej magii”, Henri Poulain — za scenografię oraz Zygmunt Malawski za rolę tytułową. Ponadto Jury Festiwalu przyznało następujące wyróżnienia aktorom Teatru Nowego grającym w „Czerwonej magii”: Halinie Machulskiej, Sławomirowi Misiurewiczowi i Zygmuntowi Zintłowi.

Nagrodę „Głosu Robotniczego” za ambitny repertuar i artystyczne wykonanie przyznano Teatrowi im. Jaracza. Nagrodę indywidualną pierwszego stopnia otrzymał Jerzy Przybylski za rolę Malatesty w sztuce Montherlanta. Nadto ten sam aktor otrzymał wyróżnienie za rolę Krausego w „Pielęgniarkach”, a Aleksander Strokowski wyróżnienie za reżyserię tejże sztuki Wawrzyniaka.

Jeżeli chodzi o Teatr Powszechny, który wystąpił na festiwalu z dwuosobową sztuką Winclberga „Kafki” wrócił on z wyróżnieniem Michała Szewczyka i nagrodą dla Czesława Przybyły. Jakże nasuwają się wnioski? No cóż — teatry łódzkie nie wyszły na festiwalu kaliskim najgorzej, ale przynajmniej, że mogłoby być znacznie lepiej.

odgłosy W świecie

UCIECZKA z CELI nr 14

Pomógł ciemnowłosy aniołek... Czyłm gestem otworzył serce więziennego dozoru, więźniowi zaś pięćdziesiąt lat, przez które wyprowadził go na wolność. Owym więźniem był 47-letni Hans Walter Zech-Nenntwisch, b. SS-Obersturmführer, hitlerowski zbrodniarz, morderca Żydów w rejonie Białegostoku i Baranowicz.

20 IV br. akurat w dniu urodzin umiłowanego wodza Hans Walter Zech-Nenntwisch skazany został przez sąd w Brunświku na 4 lata cięż-

kiego więzienia. Przewód sądowy udowodnił mu współudział w morderstwie dwóch Żydów, choć akt oskarżenia zarzucał mu co najmniej dziewięć tego rodzaju wypadków. Jednakże sąd, przed którym w charakterze świadka obrony zeznawał osławiony Hans Globke, komentator ustaw norymberskich i szara eminencja rządu Adenauera, zarzuty w siedmiu wypadkach z braku dostatecznych dowodów winy oddalił.

Od skandal sądowy, jak określa ucieczkę Nenntwisch, „Braunschweiger Zeitung“, został starannie wyreżyserowany przez grupę ludzi, a następnie bezbłędnie wykonany. Główną rolę odegrali w nim jednak: 24-letnia Margit Steinheuer — kochanka Nenntwisch, „aniołek“ — jak ją Nenntwisch nazywał i Dietrich Zeeman, dozorca więzienny, kamrat

zbrodniarza z lat chwały „Tysiącletniej Rzeszy“.

Ta para dogadła się w błyskawicznym tempie, już w pierwszych dniach procesu. Ucieczka z celi była sprawą dziecinnie prostą, zważywszy, że Zeeman dysponował kluczami więziennymi. Ale co dalej? Na to pytanie odpowiedzi udzielił Hermann Gutteck, 14-krotnie karany aferzysta, kompan Nenntwisch z celi więziennej, zwolniony niedawno po odbyciu kolejnej kary. Zjawili się na polecenie Nenntwisch u Margit z gotową propozycją ucieczki za granicę! Do dyspozycji jest turystyczny samolot handlarza bielizny, nazwiskiem Merswolke. Pilotuje go wytrawny lotnik Hans Altendeitring, b. pilot hitlerowskiej Luftwaffe, w eskadrze gen. Rudla. Es klappt alles.

O godz. 20.30 umówionego dnia Zech-Nenntwisch opuścił bez żadnego kłopotu celę, przekraczając kolejno czworo drzwi i więzienną bramę. O 150 m od więzienia oczekiwali go już w „Mercedesie“ Gutteck i „aniołek“ Margit, uciekinier wcale się jednak nie śpieszył. Chciało mu się pić, wstał więc na piwo do „Celler-Eck“ knajpy w pobliżu więzienia. W mieszkaniu Guttecka ogolił się, wykąpał, przebrał i cała trójka ruszyła samochodem do Nordhornu, skąd miał nastąpić start. Od godz. 4.45 nad ranem telefon dzwonił w krótkich odstępach czasu do pilota Hansa Altendeitringa, by stawił się natychmiast na lotnisko, do dyspozycji lotów na lotnisku w Nordhorn-Ottena, by umo-

żliwić start, do urzędu celnego na lotnisku z prośbą o szybką odprawę paszportową.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. O 6.55 maszyną ruszyła na start. Gutteck wręczył pilotowi 2 tys. franków szwajcarskich, pomachał serdecznie ręką Nenntwischowi i Margit i za chwilę samolot był już w powietrzu.

W tym samym czasie w mieszkaniu prokuratora Joachima Zerbsta w Brunświku zadzwonił telefon. Strażnik więzienny Sage meldował, że podczas porannego obchodu więzienia, w celi nr 14 znalazł na przytyku wypchaną ze słomy i przybraną w szlafrok kukłę zamiast więźnia Zech-Nenntwisch.

Natychmiast przyjeżdżam — rzucił do słuchawki prokurator.

Prawdziwy Zech-Nenntwisch był już tymczasem w powietrzu. Co prawda dopiero od kilku minut, bowiem w 15 minut po starcie pilot stwierdził z przerażeniem, że drzwi od kabiny są niedomknięte. Zachował jednak zimną krew, zawrócił, wyładował, zamknął drzwi i wystartował ponownie. Kierunek — Bazyła — polecił Zech-Nenntwisch. O 9.30 byli na miejscu. Przejazd taksówką z lotniska na dworzec do pociągu pospiesznego Bazyła — Chur trwa zaledwie kilkanaście minut. Od tej pory ślad po Zech-Nenntwischu i Margit Steinheuer zaginął.

Dopiero w 17 godzin później do prokuratora Burkharda w Bazyli wpłynął meldunek z Brunświku, że pośrednictwem Interpolu, o

ucieczce Zech-Nenntwisch. Przyczyna tak wielkiego opóźnienia była bardzo prosta. Prokuratura w Brunświku nie miała po prostu zdjęcia uciekinierza. Musiano się dopiero na gwałt o niego starać...

Już przed kilku miesiącami dr Fritz Bauer, generalny prokurator Hesji oświadczył publicznie, iż wiele faktów wskazuje na to, że „...działa u nas (tj. w NRF — red.) potężna, świetnie zorganizowana tajna organizacja, która przy pomocy wszelkich dostępnych jej środków, uniemożliwia realizację procesów hitlerowskich zbrodniarzy wojennych“.

Istotnie w krótkich odstępach czasu miały miejsce następujące zdarzenia: dr Bohne zbliżył do Argentyny, dr Tillman wyskoczył (lub ktoś mu w tym pomógł...) z okna wieżowca w Kolonii i poniósł śmierć, prof. dr Werner Heyde alias Fritz Sawade popełnił samobójstwo (lub ktoś mu w tym pomógł...) w celi więziennej. Wszyscy trzej mieli stanąć przed sądem i odpowiedzieć za śmierć ponad 100 tys. osób — głównie Niemców, których zamordowali, realizując stawianą im cel: „niepotrzebnych zjadaczy chleba“ (umysłowo chorych, kalek dzieci, niezdolnych starców itp.), akcję którą określa się dziś — zresztą niesłusznie — jako eutanazję.

Dr Bauer nie mylił się. Ostatnie władze śledcze NRF wpadły na trop tajnej organizacji pod nazwą „Die Spinne“, co po polsku tłumaczy się „pajęcznik“, która pomaga b. SS-manom i gestapowcom w ucieczkach za granicę. „Die Spinne“ dysponuje ogromnymi środkami finansowymi, ma powiązania ze sterami przemysłowo-handlowymi, utrzymuje kontakty z ludźmi na najniższych szczeblach.

Trudno więc pozbyć się wątpliwości, że ucieczka Zech-Nenntwisch jest właśnie dziełem „Pajaka“ i że udział w niej zachołanej w mordercy Margit Steinheuer, jest marginesem samej całej afery. Marginesem zresztą dla wiadomych ludzi niewiele wygodnym.

Oprac. J. Bin.

Notatki na marginiesie

SESJA ROZBIEŻNOŚCI

„Napoleon IV Republiki“ — czyli de Gaulle raz po raz daje się w znaki swym zachodnim sojusznikom. Niepohamowane ambicje, co do roli, jaką Francja powinna — jego zdaniem — odgrywać w świecie, a głównie w Europie oraz zadowolony uśmiech z czasów milionowej wojny, kiedy to Anglii i Amerykanie traktowali lekce wodza „wolnych Francuzów“ wywołują nieustanne koniunktury w pakiecie północnoatlantyckim. Ostatnia sesja rady NATO była tego najlepszym potwierdzeniem. Couve de Murville, minister spraw zagranicznych Francji występując zdecydowanie przeciwko wojkowej strukturze NATO, a więc pełnej integracji narodowych sił zbrojnych poszczególnych krajów paktu, dał całkiem niedwuznacznie do zrozumienia, że Paryż nie zrezygnował z przechwytności z rąk Ameryki kierownictwa w Europie.

Zresztą rozbieżność w tonie NATO — spowodowanych nie tylko separatystycznymi dążeniami Francuzów — zanotowano na ostatniej sesji więcej, niż kiedykolwiek dotąd w 15-letniej historii paktu północnoatlantyckiego. Nie osiągnięto żadnego porozumienia w sprawie Cypru, wobec przeciwnych stanowisk Grecji i Turcji. (Turcja domaga się rozwiązania problemu w ramach NATO, Grecja zaś pod egidą ONZ). Anglia i Francja, Norwegia, Kanada i Holandia stoją zdecydowanie na stanowisku, że mają prawo handlować z Kubą, mimo bojkotu ekonomicznego, zarządzanego przez USA w stosunku do rządu Fidela Castro.

Nie osiągnięto także porozumienia w sprawie udzielenia pomocy materialnej rządowi Południowego Wietnamu. Europejscy członkowie NATO nie mają bowiem zamiaru uczestniczyć w awanturniczych rozgrywkach USA w tej części świata. De Gaulle, który za wszelką cenę pragnąłby odzyskać utracone przed laty wpływy w b. koloniach francuskich, opowiada się nawet wręcz za neutralizacją całych Indochin. Tak więc sesja zakończyła się niekiedy kompletnym flaksem. Korespondent Agencji Associated Press, oceniając jej przebieg, pisze bez entuzjazmu: „...w najważniejszych problemach politycznych, przed jakimi stoją członkowie NATO w Europie, Ameryce i Azji, ministrom spraw zagranicznych udało się jedynie zdefiniować różnice, dzielące poszczególne kraje członkowskie...“.

PROWOKACJA

Do nowej prowokacji, tym razem groźniejszej niż poprzednie, doszło w ub. tygodniu wobec Kuby. Kontrolującą jej kubańską, którzy cieszą się nie tylko bezpiecznym azylem, ale moralnym i materialnym poparciem władz USA, ostrzegali z daleka pokładowych i z broni maszynowej statku motorowego, port Pilon w prowincji Oriente. W wyniku pirackiej napadzie sponiewała cukrownia i 70 tys. worków cukru. Dwie osoby, w tym 8-letnia dziewczynka, zostały rane.

Atak miał miejsce 13 bm. Tego samego dnia wieczorem rzecznik Departamentu Stanu oświadczył, że rząd USA nie miał nic wspólnego z napadami i nie posiada na ten temat żadnych informacji. Co nie przeszkadza, że w przeddzień ataku niektóre gazety amerykańskie zamieściły wywiady z przywódcami kontrewolucjonistów o planowanych akcjach zbrojnych na wyspie.

Przypominamy, że po sławetnym laniu w „Zatoce Świń“ w 1961 r. kontrewolucjoniści przebrnęli w ub. roku trzy za machy przeciw Kuble: w sierpniu ostrzelano północne wybrzeże Kuby, we wrześniu zbombardowano miasto Santa Clara, a w grudniu ostrzelano rządową łódź patrolową przy wyspie Isla de Pinos.

„MONACHUM“ WAŻNE!

Zachodni Niemiecki rewizjonizm aktywizuje się coraz bardziej, a niektórzy z jego przedstawicieli zapędzają się w swych odwetowych rozrachunkach tak daleko, że jako obywateli „prawne“ uważają niektórych Ostatnio np. bodeki minister komunikacji, a zarazem rzecznik ziostkstwa Niemców sudeckich dr Hans Seebom oświadczył, „iż leżące u podstaw Układu Monachijskiego porozumienie między W. Brytanią, Francją i Czechosłowacją w sprawie odstąpienia sudecko-niemieckich obszarów Rzeszy oparte było o prawo do samostanowienia Niemców europejskich“. Pan Seebom przeoczył tylko „drobny“ fakt, że owe prawo do samostanowienia oparte wówczas o prawo sily hitlerowskiego Wehrmachtu. A swoją drogą ciekawe, jak zareagują na to interesujące w sprawie dalszego sojusznicy dr Seeboma: Wielka Brytania i Francja?

Opr. J.S.

SPRAWA

„pilota z Hiroszimy“

Major Claude Eatherly z Hiroszimy, którego wyrzuty sumienia po pchnięciu na drogę szaleństwa i przestępstw, jest tylko oszustem, a w szale męczennika przywdział go świat.

Oto rewelacje książki, która już w najbliższym tygodniu ukaże się w Stanach Zjednoczonych. Tytuł książki: „The Hiroshima Pilot“, autor: William Bradford Huie. Sprawa majora Claude Eatherly nabiera światowego rozgłosu. To przecież człowiek, którego cały świat uważa za dowodzącego nalołami atomowymi na Hiroszimę i Nagasaki, który następnie grzesznie w drobnych, niepotrzebnych i niezasadonych przestępstwach, jakby w poszukiwaniu kary, którą konieczność chce ponieść, kto-

rego władze wojskowe uznają za obłąkanego i wtracają do więzienia, a następnie przytulił, człowiek i jego los, które Bertrand Russell określa „symbolami samobójczego szaleństwa naszej epoki“.

Jego korespondencję z Guntherem Anderssem o zniszczeniu Hiroszimy opublikowano w NRF i we Francji. W Anglii, John Wain opisał ją w świetnym poemacie nadanym przez BBC i następnie zamieszczonym w prasie całego niemal świata. W Japonii major Eatherly stał się prawdziwym bohaterem.

W. B. Huie jest amerykańskim dziennikarzem znanym w Stanach z dwóch książek, w których zaatakował niesprawiedliwość władz wojsko-

wych („The Hero of Iwo Jima“ i „The Case of Private Slovik“). Wydaje się więc, iż jest on jak najbardziej predystynowany do napisania historii Eatherly'ego.

Lecz i on nie przewidział, że historia „pilota z Hiroszimy“ będzie aż tak złożona. Przede wszystkim rola Eatherly'ego w atomowym bombardowaniu Hiroszimy była o wiele mniejsza; wchodził w skład dowództwa samolotu rozpoznania meteorologicznego i w momencie zrzutu bomby atomowej nad Hiroszimę znajdował się z górą 300 kilometrów od celu. Nad Nagasaki nie był w ogóle.

A wyrzuty sumienia? Wprost przeciwnie, Eatherly był wściekły, że odegrał rolę bez znaczenia. Nie został również usunięty z wojsk lotniczych, ale po prostu nie zdał wymaganych egzaminów. W rodzinny miesiąc nie przyjęto go jako bohatera: wiadano, że tylko 3 miesiące przebywał na Pacyfiku, że wykonał pięć lotów krajowych i że ani razu nie był w walce.

Nie oburzał się też na okropności wojny. Po demobilizacji handlował bronią na rachunek kilku podejrzanych, południowoamerykańskich awanturników.

Aż do roku 1957 kariera majora Eatherly była banalna: chroniczne pijaństwo, nędzne oszustwa (przed wszystkim puszczanie w obieg czeków bez pokrycia), spradowe kuracje psychiatryczne, ucieczka od jakiegokolwiek stabilizacji życiowej.

Nikt z jego otoczenia nigdy nie słyszał, żeby choć wspominał o Hiroszimie.

W 1957 roku pewien tekst dziennikarski odnalazł go w więzieniu, gdzie odsiadywał karę za kradzież. Tak powstał rzewny artykuł o rozpaczliwym losie „bohatera z Hiroszimy“. Artykuł, podchwycony przez „Newsweek“ stworzył legendę o wojskowej karierze Eatherly'ego, o tym, że Eatherly, po zrzuconiu bomby atomowej na Hiroszimę, przeżywa mękę wyrzutów sumienia. I oto opinia publiczna Stanów ustaliła na-

tychmiast, iż cała ta historia „jest bardzo symboliczna dla naszej epoki“.

Tak powstała legenda, że pewnej nocy Eatherly obudził się z krzykiem, że od-tąd nie pobierał już renty byłego kombatan (zainkasował wszystkie czekie), że zwrócił przysługane mu wysokie odznaczenia wojskowe: „Distinguished Flying Cross“ (nie uczynił tego nigdy), że odbył pokutniczą podróż do Japonii (nigdy nie postawił tam nogi), że został w tajemnicy porwany przez władze lotnictwa wojskowego itp. itd.

Ostatnio, w Teksasie, major Eatherly został znów aresztowany, używając straszaka usiłował obrabować sklep.

Czy dalej konsekwentnie odgrywa swą rolę? Czy naprawdę cierpi na schizofrenię, jak to orzekł lekarz długo przedtem, nim zrodziła się o nim legenda?

Legenda i fakty o Eatherlym tak się teraz pomieszały, że być może, prawdy nie dowiemy się nigdy. (s)

Wenecja skazana na śmierć



Wenecja — włoskie miasto zbudowane w lagunie Morza Adriatyckiego na 117 wyspach. Domy przeważnie wzniesione na palach. Miasto przecięte przez 175 kanałów. Największy z nich — Canale Grande liczy 3,8 km długości, szer. 80 m. Wenecja została założona w r. 425 przez uchodźców ze zburzonej Akwilei. Miasto rozwija się szybko i już w IX wieku panuje nad Adriatykiem. W średniowieczu Wenecja rozkwita jako ważny ośrodek handlowy. Wzrasta jej potęga. Władza Wenecji sięga nawet częściowo do Bizancjum. Od czasu odkrycia Ameryki, utworzenia się nowych ośrodków handlu i nowych szlaków handlowych, Wenecja stopniowo traci na znaczeniu.

Dziś przyciąga turystów z całego świata osobliwością jako miasto zbudowane na palach w lagunie i cennymi zabytkami architektonicznymi. Do najbardziej znanych należą pałace przy placu św. Marka. Posiada bogate muzea i wiele cennych dzieł sztuki.

Wenecji grozi zagłada. Zabytkowej wartości wymaga Miasto pogrąża się w pilnego remontu. Wenecja lagunie. Dziewięćdziesiąt procent budynków o

ciemnioczerwony okres sezonu turystycznego mają tu zarobek. Wielu z nich opuszcza Wenecję, aby na stałym lądzie szukać pewniejszych dochodów, wygodniejszych i zdrowiejszych mieszkań.

Trwa dyskusja. Zachować Wenecję w takim stanie jak jest, ze wszystkimi cennymi zabytkami sztuki, z osobliwym czarem, jakie ma to średniowieczne miasto w lagunie, czy też mimo wszystkich Wenecję unowocześnić? Na ratowanie miasta trzeba pieniędzy. Dużo pieniędzy. Skąd je wziąć? Zainteresować świat? UNESCO? Czy to łatwo o te 400 miliardów lirów koniecznych na konserwację i remonty?

Dyskusja trwa. A miasto pogrąża się w lagunę. Podnosi się lustro wody wszystkich mórz, ale tu w Wenecji, miasteczko zbudowane na palach, może być przyczyną tragedii. Drżące te pale. Każdy liczy ok. dwa metry długości. Stoją w wodzie już ponad 1.000 lat i są doskonale zachowane. Gdy jednak wyciągnie się je z wody — a stało się tak np. przy budowie mostu kolejowego w połowie XIX w. — rozpadały się w pył w przeciągu zaledwie kilku godzin.

Woda w lagunie podnosi się, zaś jej dno się obniża. Sprawia to wciąż rosnące zapotrzebowanie przemysłu na wodę gruntową i eksploatacja

gazu ziemnego (metanu). Przemysłowe ścieki niszczą ponadto roślinność lagunową, która dotąd umacniała dno. 7% budynków Wenecji jest w ogóle niezamieszkałych, 31% w złym stanie, tylko 62% jest dobrze utrzymanych lub w stanie remontu. Ale niektóre z zabytkowych budowli świecą pustkami. Oto oddano na hejtał, Palazzo Labia zdobiony freskami mistrza Tiepola, kosztownie umeblowany. Ale kto nabędzie zimny pałac, którego koszty utrzymania są wysokie i to w mieście, któremu grozi zagłada? Tu pusty pałac przeznaczony na sprzedaż, a w dzielnicy biedoty wilgotne ciemne partery zalewa woda podczas wiosennego i jesienno-gozu przyboru, pomieszczenia gdzie często można ujrzeć tuż obok siebie piec kuchenny, łóżko i wiadro zastępujące kanalizację. „Nasz plan przewiduje — tłumaczy wyciągnięcie wszystkich mieszkańców z parterowych mieszkań nad brzegami kanałów i ew. założenie tam magazynów“. Ale czy w Wenecji starczy mieszkań? Wenecja posiada skrawek lądu — Mestre. Tam to trwa stały exodus. W ciągu ostatnich 13 lat opuściło Wenecję 46 tys. mieszkańców i obecnie liczy ona ich 130.000. Mestre od roku 1951 zwiększyło liczbę mieszkańców o 80.000 i dziś może się poszczycić 176 tysiącami osób.

Mestre uratuje Wenecję — mówią jedni. Nie. Mestre Wenecję pogrzebie — odpowiadają inni. A na razie... Na razie plany, plany i projekty.

Uczynimy miasto jeszcze bardziej atrakcyjnym dla turystów niż dotąd — mówi entuzjastyczny zabytkowiec Wenecji. Założymy nowe teatry, będziemy grali naszego rodaka Goldoniego w teatrze jego imienia. Do pustych pałaców ślagnamy instytucje kulturalne z innych miast Włoch, np. niektóre wydziały uniwersytetu z Padwy, gdzie jest im ciasno; mogą się do Wenecji przenieść zarządy przedsiębiorstw przemysłowych np. z Turynu. Tak, zgoda — odpowiadają inni — ale komunikacja. Trzeba stworzyć bardziej nowoczesną komunikację. Stworzymy ją — wołają zapaleńcy. Uruchomimy szybkie pociągi nad laguną. Nie! — protestują konserwatorzy. To zniszczyłoby urok tego jedynego, tak osobliwego miasta w świecie. Nie zgadzamy się. A może metro pod laguną? A może puścić w ruch nowoczesne amfibie unoszące się nad wodą?

Dyskusja trwa. Każdy argument wywołuje natychmiast kontrargument.

Ciągle nowe plany i projekty — mruzcą wenecjanie — ale nie robi się właściwie nic. Wenecja pogrąża się w lagunę.

Opr. J.S.



Vivant professores!

Dalszy ciąg
ze str. 1

W tej atmosferze źle się czuła nauka, słabła więc międzynarodowa uczonych, informacje torowały sobie z trudem drogę za granicę. Wiedza uczonych była też często wykorzystywana w międzynarodowych rozgrywkach. Po mieszczańskim nacjonalizmie przyszedł faszyzm, który dezintegrował naukę, jej rozpad doprowadził najdalej.

Wydaje się, że znakiem dzisiejszych czasów jest ponowne odradzanie się wiedzy międzynarodowej uczonych. Świat przelakł się własnych możliwości w dziedzinie doskonałości środków masowej zagłady, zapragnął więc, by postęp nauki skierować ku innemu, wspólnemu całej ludzkości celom. Dziś stoją przed nauką wielkie zadania w zakresie podboju kosmosu, rozwiązania problemu wyżywienia rosnącej w zaskarżającym tempie ludności naszego globu, znalezienia środków skutecznie zwalczających nieuleczalne choroby itd. itd. Są to zadania, których nie da się

rozwiązać w pojedynkę. Skuteczny efekt możliwy jest jedynie w oparciu o najszerzą współpracę naukowców na całym świecie.

Myślę więc, że krakowski zjazd uczonych kilku kontynentów jest właśnie manifestacją tych tendencji i pragnień, które w piękny sposób nawiązują do dawnych tradycji naukowej międzynarodowości.

Dlatego też najsilniejsze wrażenie wywarł na mnie pochód krajowych i zagranicznych profesorów z Wawelu, tzw. Drogą Królewską na Rynek krakowski. Już optycznie widok był fascynujący. Setki uczonych, najróżniejsze barwy tóg i płaszczów, ich zielen, błękit, fioleto, amarant, cynober, purpura, gronostajowe kołnierze, złote lancuchy, najwymyślniejszych kształtów biurety — to był widok niezapomniany.

W strojach profesorskich można by się doszukiwać tylko tradycjonalizmu, ale chyba mają one inny cel jeszcze. Pochód uczonych męzów śledził wielotysięczne tłumy. Wydaje się, że togi i biurety przemawiały do ludzi jakimś bardzo popularnym, łatwo zrozumia-

łym językiem. Mówiły o różnicowaniu i specjalnościach uczonych, nadawały im efektowny i sugestywny odświętny uniform.

Kiedy pochód profesorów zszedł stokiem wawelskiego wzgórza i znalazł się wśród szpalery tłumów, rozległy się głośne oklaski i okrzyki na cześć uczonych. Jakże wysoko należy cenić te owoce! Były one holdem dla umysłu ludzkiego, dla wiedzy. Pośród wiwatujących poważny procent stanowiła młodzież — uczniowie, harcerze, studenci. Wtńczyli się oni gorąco w manifestację, składając w ten sposób hold swoim wychowawcom i nauczycielom. Widok manifestującej młodzieży był krzepiający. Jakże bowiem często ta sama młodzież zachowuje swój podziw dla cwanactwa, cynicznego nihilizmu, indyferentyzmu, czy — żeby się wyrazić modnie — frustracji. A w najlepszym razie dla sprawności i siły mieśni.

W czasie krakowskiego jubileuszu przywrócona została dobitnie ranga nauki i wiedzy. I to chyba dobrze. Vivant professores!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ALEKSANDRA OCHALSKA

— Która godzina? Daleko stąd do Banku PKO? Czy idę-tka do do Widzewa? Proszę mi rozmienić 50 zł... Krzyżują się pytania i odpowiedzi. Brzęczy odliczana moneta. Sprzedawca, informacja, usługa, słowem: „okienko Ruchu” czyni od rana do wieczora.

Trudno porównać pracę sprzedawcy gazet z pracą np. sprzedawcy na akord. Jedna chwila nieuwagi, jedno potknięcie i rwa się nitki, powstają skutki krosien... i pył unoszący się po sali. Dzielne są włókniarki Łodzi, i nie bez powodu miało się nimi szczyli. Zastanawia na to. Natomiast praca sprzedawcy „Ruchu” to praca spokojna i łatwa. Nikogo się tutaj z robotą nie goni, żadnej normy wykonywać nie trzeba. Ot, po prostu „wysiaduje” się swoje godziny i czeka na klientów. Ale wystarczy jeden moment skupienia, kilka baczniejszych spojrzeń i sprawa wygląda zgoła inaczej. Sytuacja bowiem w jakiej znajdują się sprzedawcy „Ruchu” sama dyktuje obowiązujące normy. Zarobki ludzi kształtują się tutaj od wysokości obrotu, jaki uzyskają oni ze sprzedaży prasy, książek i innych artykułów pozaprasowych, którymi PUPIK „Ruch” handluje. Zasiłki przeliczne wynagrodzenia sprzedawcy nie sięga stawki wykwalifikowanej przynosi. Tak więc słowo „akord” nie jest w tej branży obce. Ta niewidoczna, a zarazem trudna i odpowiedzialna praca sprzedawców „Ruchu” jest wygodna dla społeczeństwa. No, bo przypominajmy sobie, ile to razy kiedyś sklepy były już pozamykane, w kiosku „Ruchu” paliło się światło? Rzadko, a może w ogóle nie zastanawiamy się nad tym, że pali się ono dla naszej wygody. Ze tam właśnie możemy zaopatrzyć się w przeróżne potrzebne drobiazgi.

Z okazji ostatniego zjazdu Wojewódzkiej Sekcji Sprzedawców „Ruchu” w Łodzi, która zrzesza w swoich szeregach blisko 2.000 członków, prasa łódzka pisała wiele. Ale zjazd odbywał się raz na dwa lata. A na co dzień?

— Proszę „Głos Robotniczy”. Co, już nie ma „Odgłosów”? No, przed, niech mi pani da wreszcie te dwa bilety, bo mi autobus ucieknie. Ale się pani „gramoli”...

— Tak właśnie jest na co dzień — mówi p. Estera Fajersztajn z ul. Piotrkowskiej, która podpisała umowę agencyjną z „Ruchem” w 1957 r. Każdy się spieszy, każdy chciałby w lot wszystko otrzymać, a czołwik — przecież nie maszyna. Sprzedawca dziennie ponad 1.000 biletów autobusowych i to po 1, po 2 sztuki. W nawałe pracy nie jest to takie proste, jakby się wydawało. Dobrze, że zbliża się okres urlopowy i będzie można trochę wypocząć — wzdycha p. Fajersztajn. W ub. r. korzystałam z wczasów nad morzem, myślę, że i tym razem Wojewódzka Sekcja przyjdzie mi z pomocą. Najważniejsze, że ma mnie kto zastąpić, bo kiosk prowadziłam z mężem. Gorzej mają te koleżanki, które są samotne, które nie mają „roboty” na zastępstwo, ani pieniędzy.

CZYŻBY MIŁOŚĆ?

— Co mogę powiedzieć o „Odgłosach” i o czytelnikach? O, bardzo wiele. Znamy się przecież od siedmiu lat. Pani Stefania Świątkowska z kiosku „Ruch” przy zbiegu Al. Kościuszki i ul. Zamenhofa jest zadowolona ze swojej pracy, i dla niej rzuciła zajęcie księgowości. Mnie się wydaje — mówi p. Stefania, że „Flirt” już się skończył na dobre. Od dłuższego też czasu nie widzę tej pozycji na łamach tygodnika. Od kilku dni natomiast od czułam nawet brak „Odgłosów”. Czyżby po filircie przysłała koleżanki miłość? Moi klienci to w większości młodzi ludzie, przeważnie studenci i licealiści. Dlatego chciałabym, aby „Odgłosy” traktowały więcej o sprawach młodzieży. Osobiście chętnie widzę krótkie opowiadania i reportaże. Zapa-

niałam na przykład opowiadanie W. Karczewskiej pt. „Pielca”.

POCHWAŁA DLA KOBIET

— Jeden z pierwszych czytelników w każdy czwartek „Odgłosy”, które pachną jeszcze świeżą farbą — informuje w rozmowie p. Edward Uzarewicz z ul. Kilińskiego. Na powódzenie takiego czy innego tytułu, w dużym stopniu rzutuje specyfika środowiska danej dzielnicy. Np. u mnie specjalnym wzięciem cieszy się prasa techniczna i sportowa. Inne tytuły rozedłają się raz lepiej, raz gorzej, trudno się czasem zorientować od czego to zależy. Ostatnio obserwuję większą poczytność, niekiedy nawet brak mi gazet. Uważam, że jeśli chodzi o prasę, to powinna tu istnieć pewna rezerwa na zwroty, pewien luz. Nigdy bowiem nie wiadomo, jak pójdzie sprzedaż. Dla 60 moich stałych odbiorców, prasa czeka przygotowana każdego dnia w teczkach, w tym również „Odgłosy”. Między innymi tygod-

wprost do przedstawiciela „Prasy Łódzkiej”, a więc do wydawcy — wita mnie z uśmiechem p. Michał Konstantjew. Co do „Odgłosów” to powiem krótko: piszcie więcej o ludziach, pokazujcie żywego człowieka, a będą was czytać. Jeżeli o klientach chodzi, to mam do nich jedną prośbę: mniej nerwów, honorowanie kolejności przy kiosku, no i więcej wyrozumiałości dla nas, bo przecież i my także często jesteśmy ludźmi schorowanymi, wrażliwymi i mamy — niestety — tylko dwie ręce, a lat... ech, lepiej nie mówić. Żal mi dości, która w naszych czasach była również i chmurna i durna, a na pewno trudniejsza od tej jaką dziś mają młodzież.

„ZJADAMY” WIĘCEJ PAPIERU, NIŻ TLUSZCZÓW...

Punkt przy ul. Kilińskiego 1. Tuż obok jest bardzo ruchliwy, ale i wiasciwy kiosk, nie ma nic w sobie z żółcią. Wreszcie przeciwnie. Pan Feliks Wojdała, mimo swoich 65 lat i inwalidztwa nabytego w czasie I wojny światowej jest pełen energii. Jego ruchy są szybkie, umysł pracuje sprawnie.

— Nie wiem co to będzie, kiedy nadejdzie pora iść na emeryturę — martwi się stary wojak. Nie wytrzymam bez pracy. Trudno będzie, ale rozumieję, że wyż demograficzny, że trzeba dużo wolić miejsce dla młodych.

Pan Wojdała od 1946 r. nie chorował, nie urlopował, pracuje jak maszyna. Denaruje się tylko wówczas, kiedy prasę późno przywożą.

— Teraz o wiele więcej sprzedaje gazet, niż przed wojną. Obecnie, ludzie interesują się bardziej tym, co się dzieje na świecie i w kraju. Czytałem w biuletynie „Ruch”, że podobno przeciwny, „statystyczny” obywatel Polski Ludowej zużywa więcej papieru niż tu szczytów, a niewiele mniej niż np. cukru. Ludzie lubią sensacje polityczne i wydarzenia, wspomnienia z ostatniej wojny, kryminały, rozprawy sądowe itp. Pisze żywo o tym, co życie przynosi na co dzień, co się w naszym kraju zmienia na lepsze, jak rosną nowi ludzie. Prezentując artykuły i reportaże ze usługując się też bardziej zrozumiałymi tytułami, tak aby prosty człowiek wiedział czego się może po takim tytule spodziewać. Ale mimo wszystko lubię „Odgłosy”, bo są odważne, mówią o sprawach kultury, a przede wszystkim są nasze, łódzkie. No, ale „gadaj, gadaj” a na mnie już czas, zmiana warty nadechodzi i to z najwyższymi naszymi...

W naszym kiosku TP 3 miejsce p. Wojdały zajmuje jego 60-letnia małżonka.

Pięć rozmów w „Cztery oczy” to tylko mały wycinek, reprezentujący zresztą nie najgorszą stronę i warunki pracy sprzedawców „Ruchu”, którzy należą do wielkiej rodziny pracowników kultury upowszechniających prasę i książkę na co dzień.

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO

O REPERTUARZE
TEATROW
ŁÓDZKICH

O „ODGŁOSACH”

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY”

PISZCIE WIĘCEJ O LUDZIACH

— Jak to dobrze, że sprzedawca „Ruchu” może się raz wypowiedzieć, i to nie oficjalnie na zjeździe, ale tak

ŁÓDZKIE XX-LECIE ELEKTROCIĘPŁOWNIA im. LENINA

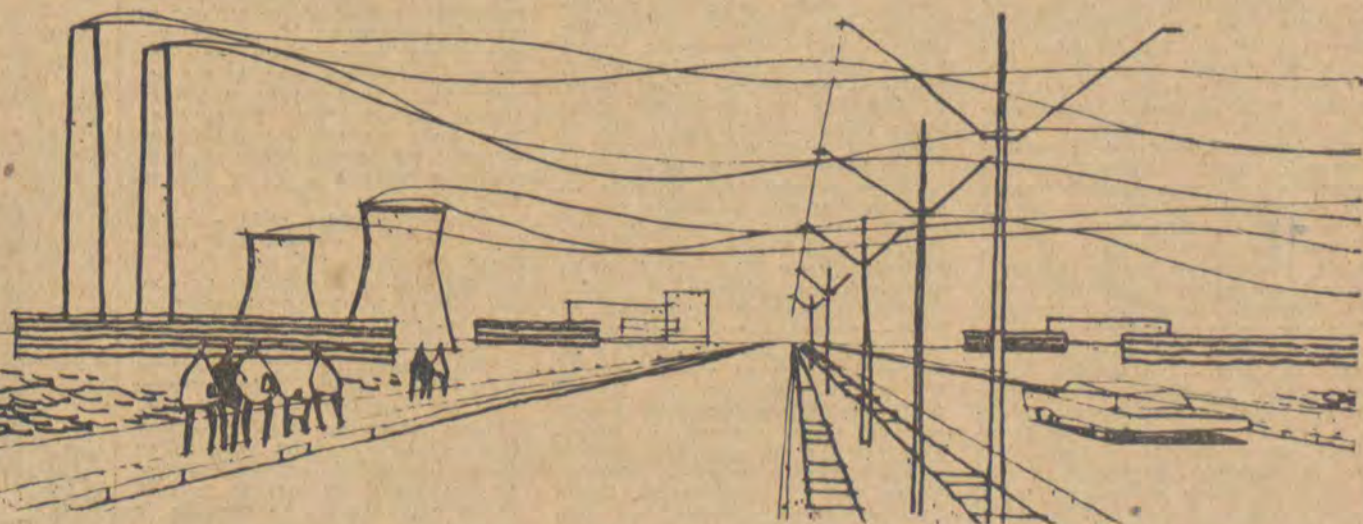
MYŚL: Fachowcy twierdzą, „wytworzenie pary w wysokopiętnych kotłach elektrociepłowni jest sprawniejsze o około 25 proc. niż w małych kotłach przemysłowych. Wytwarzanie energii elektrycznej w elektrociepłowniach odbywa się przy sprawności jakiej osiąga ją najnowocześniejsze i największe elektrownie parowe”. A więc — taniej, lepiej, wydajniej. Te przesłanki zdecydowały i w roku 1955 rozpoczęto budowę EC-II. Dzięki powstaniu Elektrociepłowni im. Lenina przestało dymić w Łodzi około 100 kominów.

DANE: Moc — 150 MW — dwukrotnie większa od mocy

starej elektrowni. Moc cieplna jest w stanie ogrzać około 120 000 izb i zapewnić pracę wielu fabrykom.

ANALOGIE: Stara elektrownia zużywa 0,593 kg węgla do wytworzenia jednej kilowatogodziny energii elektrycznej. Elektrociepłownia do wytworzenia jednej kilowatogodziny energii — potrzebuje tylko 0,310 kg węgla. W roku 1961 ilość izb ogrzanych z Elektrociepłowni wyniosła 30 000. W roku 1965 wyniosła 130 000.

PROJEKTANT: inż. Mariusz Sowiński.
Rys. inż. arch.
Jan Michalewicz



W tym miejscu las przecinał wspinający się zakosem tor na wysokim nasypie kolejowym. Wszystko tonęło w mroku. Jedyną rzecz jaką na moment zakłóciła spójność, to błędny ognik pojawiający się między drzewami. Widomy znak ludzkiej obecności, ktoś tu palił papierosa.

Mineło jeszcze trochę czasu, gdy na horyzoncie pojawiły się czerwone latarnie parowozu. Wtedy od milczącej ściany lasu oderwały się sylwetki ludzi, którzy zaraz przepadli nisko tuż przy szynach. Maszyna sapiąc i pychając iskrami zbliżała się do miejsca, w którym leżeli i sprawdzali teraz linki i haciki.

Wtedy pierwszy hak uderzył twardo w powierzchnię wagonu i sylwetka człowieka poszybowała płasim ruchem w powietrze, aż wyśladowała na dachu. W tym momencie skoczyła reszta, za chwilę i oni w ten sam sposób lecieli i ładowali zwinnie na dachach ciężko załadowanych wagonów. Nagle huknął strzał, potem kilka następnych. Po chwili odpowiedziały im słabsze strzały pistoletowe. Jeden z ludzi usiłujących dostać się do pociągu nie zdążył zarzucić linki, stracił impet, opadł na krawędź nasypu, potem już zsunął się miękko w dół. Tuż za nim położyły się z wagonów ciężkie bele materiałów włókienniczych, jakieś skrzynki, blaszane banki.

Powietrzem wstrząsały strzały karabinowe i gęsta palba z pistoletów. Zaraz też pociąg zaczął nabierać szybkości i w gęstniejącym mroku można było zobaczyć jak ludzie zwijający się przedtem przy zerzucaniu ładunków zaczęli się pośpiesznie zsuwać na stopnie wagonów. Jeden ułożył się płasko na desce i po chwili nadął ciętą obróbowy rurek, tak że uderzył ramieniem w młokki płasek nasypu obok toru. Inni czynili pośpiesznie to samo. Tamten wstał i pochylił się, potem otworzył ogień z pistoletu maszynowego w stronę oddalającego się pociągu, skąd strzelali jeszcze z karabinów. Obok niego stało kilku innych i strzelali na oślep z rewolwerów. Pociąg tymczasem oddalał się coraz szybciej i dalsza strzelanina byłaby już bezowocna.

Teraz od ciemnej ściany lasu oderwała się jakaś nowa sylwetka i wkrótce na dany reka znak zadudniło, aż pokazała się chłopek furmanka. Zaczęto pośpiesznie zbierać rozrzucone wzdłuż toru ładunki i układać na wozie. Również jeden z ludzi pochylił się nad czymś, co nie przypominało zwykłego ładunku, nadbiegł drugi, trzeci, podnieśli to i delikatnie ułożyli na stosie, gdzie już załadowano wszystko co zostało zerzucane. Zaczęli konie batem i wkrótce na leśnej drodze zrobiło się cicho, jak gdyby nie tu nie zaszło.

* * *

Wies leży przy szlaku kolejowym, właściwie to nie jedna wieś — kilka wsi. Tylko przystanek kolejowy nazywa się Zakowice, stąd promieniście rozchodzą się te wsie w różne strony. Na prawo od torów kolejowych biegnie droga, z jednej strony drogi wieś — Kaletnik, z drugiej — Różyca. To tutaj. Ale coż to za wieś? Na łakach pod lasem pasie się zazwyczaj niewielka gromadka — kilka krów, po obu stronach drogi domki mieszkalne, takie jak w mieście i przypominają one raczej miasto niż wieś, bo zabudowa gospodarskich — obór, stodoły, niewielkie tutaj, można by je chyba zliczyć na palcach. Przy domach małe ogródki, niewielkie pola poprzecinane wzdłuż i w szerz miedziami. Mogłoby się wydawać gospodarstwa ogrodnicze, ale to nie to, latem trzeba czasem dowozić warzywa z miasta, bo na miejscu trudno dostać, każdy sadzi tyle co dla siebie.

Przed wojną mieszkali tu sporo kolejarzy pracujących w pobliskich Kolaszkach, lub w Łodzi. Reszta siedziała na małych, czasem półhektarowych poletkach. Tylko dwu było tu gospodarzy z prawdziwego zdarzenia — byli to Niemcy — Bizer plekarz i Lessing — właściciel sklepu spożywczego. Reszta biedowała na małych poletkach, latem odpędowali własne mieszkania letnikom, sami zaś przenosili się do szop i komórek. Dla letników było wtedy wszystko. Im odpędowało się ostatnie jajko, ostatni litr mleka, byle zachować trochę groza na zimą.

Po drodze wałęsały się gromadki młodych ludzi, którzy wszędzie wsadzali nos, wszędzie można było coś ukraść, zaglądali do cudzych domów i ogródków, odważniejsi chodzili na szlak kolejowy „na węgiel”. Zwalniało się wtedy z wagonów bryły węgla, które trzeba było skrzętnie pobierać i sprzedawać letnikom, albo zamożnym gospodarzom z innych wsi. Niektórzy chodzili do lasu — po drzewo, które wynosili najczęściej pod osłoną mroku. Inni zbierali grzyby, jagody, które też odpędowało się letnikom, albo wywoziło do Łodzi. Raz po raz pojawiał się wtedy wsi komornik, który zbierał pieniądze, albo rekwizował dobytek, za niezapłacone mandaty, które sporządzili gajowy.

O gajowym starzy ludzie mówią

teraz różnie, nie był taki zły chłop — czasem dał po mordzie i nie pisał mandatu, niektórym pozwalał karę odrobić we własnym gospodarstwie.

Było wtedy paru ludzi we wsi, którzy nie bawili się byle jagodami, czy borówkami uszczelnionymi w obawie przed gajowym. To byli „kipiarze”. „Kipa” — to był ktoś. Wszyscy we wsi wiedzieli, kto chodził na „kipe”, ale niechby kto pisał słówkiem, może by i świata więcej nie oglądał. Kipiarze mieli zazwyczaj broń i mieli pieniądze, nawet gdy któregoś złapano, potrafił się wywinąć z więzienia. Każdy młody człowiek patrzył wtedy na nich z zazdrością i uwielbieniem. Być „kipiarzem” —

JOZEF H. WIŚNIEWSKI

WSPOMNIENIA „KIPY”

to było ich marzenie.

Robota kipiarzowska nie była bezpieczna. Kipiarz wychodził na szlak kolejowy, głównie w nocy, zarzucał hak z umocowaną do niego linką na dach wagonu, potem sam wciągał się w biegu na dach, robił łomem dziurę i kradł z wagonu co się dało. Najchętniej kradł oni materiały włókiennicze, które można było stosunkowo drogo sprzedać paserom.

Robota kipiarzowska nie była bezpieczna, czasem na kipiarzy robiono zasadzki i wpadali w ręce policji, czasem ginął któryś bez wieści i nikt nie był w stanie powiedzieć co się z nim stało. O tych, którzy wpadali dballi koledzy — bo na kipe wychodziło się zespółowo — całą bandą. Koledzy posyłali paczki uwielbionym, koledzy dballi o to, by rodzinny kipiarz nie przymierał głodem.

Tradycja kipiarstwa i zbrojnych bandyckich napadów na pociągi osobowe, była tu tak długa jak długi jest historia kolei warszawsko-wiedeńskiej, której linia przebiega niedaleko stąd, przez lasy, które stanowiły dobrą kryjówkę dla band.

Starzy ludzie do dziś opowiadają, w zimowe wieczory o słynnych bandytach, którzy z bronią w ręku skakali do pociągów i rabowali bogaczy. Teraz legendy rozrosły się i niekiedy można usłyszeć nawet fantastyczne wieści o tym, co się w tamtych czasach działo. Kiedy to było? To już trudno powiedzieć. Niektórzy twierdzą, że jeszcze przed pierwszą wojną światową, inni, że jeszcze po pierwszej wojnie. Kipiarstwo tylko dotrwało do naszych czasów i skończyło się dopiero po ostatniej wojnie.

W czasie wojny, gdy Niemcy odcieśli Zakowice od Łodzi i kiedy wytoczono tu granicę GG zaczął się jeszcze przemysł przez granicę. Sze-regi kipiarzy także się powiększyli, bo brakło już letników i trzeba było na gwałt szukać innych źródeł zarobku. Kipiarstwo stało się wówczas jeszcze bardziej niebezpieczne, ale przysparzało dodatkowej chwały — to był już nie tylko zwyczajny rabunek, kipiarze rabując niemieckie transporty spełniali także czyn patriotyczny. Tak się wtedy o tym mówiło.

* * *

Jurek miał osiemnaście lat, kiedy zaczęła się wojna. Chodził z początku na przemysł, kradł drzewo z lasu, ale nie przynosiło to zbyt wielkich zysków. Coż można było zarobić, jeśli się nawet ukradło wóz drzewa. Na lepszy przemysł trzeba było mieć dużo pieniędzy. A tymczasem zima 1940 roku Jurek chodził do lasu po drzewo w załupnowizowanych butach — owijał nogi w szmaty z worka, bo na buty nie było pieniędzy. Ojciec — murarz, nigdy nie śmierzdział grozem, bo pilł tego — teraz był prawie bezrobotny. Matka — schorowana choć miała wiele roboty przy śledziorgu młodszych dzieci — zajmowała się do posług u niemieckich gospodarzy. Z tego jednego hektara, który uprawiali — zysków było niewiele — siali tu jak ich dziadowie żyto i sadzili ziemniaki. Młodszych dzieci nie można było nawet oddać do państwa krów, bo nie było tu większych gospodarstw.

Dopiero kiedy Jurek poszedł na kipe — rodzinie zaczęło wesoło się lepiej. Koledzy nie wpuścili go od pierwszego razu na wagon, chociaż był zwinny, silny i odważny. Na początku zbierał ładunki, ale powoli wprawił się w skakanie na wagon i został dopuszczony do najwyższego wtajemniczenia — rabunku. Teraz zaczął otrzymywać lepsze „wynagrodzenie”, dawał mu normalna „dole” pozostająca do podziału dla kipiarzy po dokonaniu napadu na transport,

Zaraz też Jurek kupił sobie od węgierskiego żołnierza za litr wódki i słonej dobry pistolet i dwieście sztuk amunicji. Jego rodzeństwo zaczęło chodzić lepiej ubrane, sam Jurek kupił sobie buty z cholewami, ładną czapkę, zaczął nawet bywać na wiejskich zabawach. Dawał też zarobić trochę pieniędzy ojcu, bo stary zaczął gotować bimber, a on potrzebował teraz bimbru dla siebie i dla kumpli — kipiarzy, którzy lubili czasem tego popić.

Wszyscy we wsi wiedzieli skąd on ma teraz pieniądze i wtedy nazwali go — Kipa i tak już zostało do dziś. Nawet jego nazwisko nie jest ważne, wystarczy powiedzieć Kipa i wszyscy wiedzą o kogo chodzi.

stanąłem w obronie Tadeusza. Ale w sukurs przychodzi nam Zośka. Ta mogłaby przegadać chyba cały batalion wojska — śmieje się Zdzisiek. Potem znów towarzystwo dzieli się według zainteresowań — wokół Kipy skupiają się bracia, którzy zostali tu z nim na wsi, Władek — kolejarz, Janek — majster tkacki, Zenek — milicjant, Kasia — gospodyni wiejska, która wyszła za mąż za chłopaka z sąsiedniej wsi. Oni rozmawiają o urodzajach, a Zośka Tadeuszowi i Zdzisiekowi mówi dalej o sztuce, choć obaj nie mają już ochoty słuchać jej paplaniny.

Wreszcie mąż Kasii wzywa znów do wypicia i znów układy się zmieniają.

Przysuwam się do Kipy i usiłuję

naciągnąć go znów na wspomnienia. Kipa na ogół milczy, gdy go pytam o przeszłość, ale dziś jest już po paru kieliszkach i język ma naoliwiony — jak sam mawia. Opowiada jak to było kiedy chodził na kipiarzką robotę, jak rwał dachy wagonów, albo odbijał deski z dachów i zwał co się dało.

Raz — mówię — odbijam deskę i okazuje się, że w środku są świnię, zwyczajnie świnię. Pokazałem pastuchowi „gnata” i odwałem drzwi, a potem zacząłem zwałować ile wlezie. Był to mój najgłośniejszy wypadek, bo świnię dary się jak zarzynane jeszcze w powietrzu, a potem kiedy spadły z połamanymi nogami podnosiły taki hałas, że cały las się trząsł. Chłopaki mieli do mnie pretensje, ale potem wszyscy byli zadowoleni, kiedy się naladowało pełne beczki peklowanego mięsa i było co jeść przez całą zimę, a ile się tego sprzedawało ludziom?

Albo znów — ciągnę — wpadamy z Guciem do wagonu, a w środku bahn schutz, znalazł Gucia — już go nie ma. To my wtedy do tego bahnschutzu i Gucio go w kły. On na kolana i zaczyna błagać — to ja mu szłosa i on leci na dół. Potem po wojnie jak się go dokopali w lesie — wypytali ludzi kto to jest. Ale ja nie nie mówiłem, bo jeszcze by się mogli czego za dużo dowiedzieć. I wiesz co z nim zrobili? — Zabrali go na nasz cmentarz i pochowali razem z żołnierzami, jak bohatera narodowego — bo myśleli, że to nasz. Żebyś wiedział z jakimi honorami go chowali — myślałem, że pięknie. Nie szkodzi, myślę sobie, jemu i tak wszystko jedno, a ja jego urządziłem tak za tego, co potem do mnie strzelił i mi urządził to — wskazuje na nogę, jakbym wiedział, że drugi taki sam sukucyn wpakuje mi kulę w nogę. A dzisiaj nie ma z kim nawet wspominać, wszystko się rozleciało po świecie, chłopaki z kipy powynosili się do diabła, nie wiadomo nawet gdzie który jest.

* * *

Na imieninach u Kipy zbiera się zazwyczaj cała ósemka, jest to coś w rodzaju święta rodzinnego. Bo trzeba wiedzieć, że Kipa jest szanowanym jak ojciec.

Sam nie mam szkoły mówię, ale dzieciaki pokształciłem jak trzeba. Niech mi tylko ktoś coś powie... Wiedziałem do czego który się nadaje i każdy otrzymał na co miał chęć.

Zdzisiek, zdaje się trzydziestolatek, świeżo upieczony major, absolwent WAT uśmiecha się z przekąsem — no mnie to już chyba państwo wykształciło?

Kipa czerwienieje — a kto ci paczki do wojska słał, cholero jasna?

Janek — majster tkacki, który o własnych siłach już po założeniu rodziny skończył technikum włókiennicze, traca brata łokciem, dał spokój Zdzisiekowi, wiesz jaki on jest, po co drażnić — mruczy szeptem. On — a brata najlennie, mieszka blisko, styka się z nim najczęściej.

Wypijmy twoje zdrowie, Janek wznosi toast do Jurka. Siedzę włożony między rodzeństwo, znam ich od lat, pamiętam Jurka z czasów, kiedy chodził na kipiarzką robotę. Postarzał, ale trzyma się teraz krzepko, wydaje się jest w nim więcej pewności siebie, więcej niż wtedy, kiedy pomykał chyłkiem w opłotkach, kiedy patrzył rzeczowo na każdy przedmiot, na wszystko pod jednym kątem, jak to ukraść, i ile by się za to dostało pieniędzy.

Przepiliśmy kolejne zdrowie i w izbie teraz gwarnie. Wokół Zośki — nauczycielki, tworzy się żywo rozprawiająca grupka. Zośka mieszka w nowych blokach we Wrocławiu, wyszła za mąż za architekta i ma już samochód. Zali się teraz, że nie pozwolą jej stawiać garażu w pobliżu miejsca zamieszkania. Tadeusz na boku stara się zabawić dzieciactwem — rysuje im na skrawkach papieru pocieszne postacie — dzieci zaśmiewają się.

Wujku, namaluj mnie — mówi jakiś skrab, — ale tak jak wujka Jurka na portrecie.

Mimo woli rzućmy okiem na portret Kipy, wiszący na honorowym miejscu obok „świętych” obrazków. — To było namalowane kiedy zacząłem studia, jeszcze na pierwszym roku — mówi Tadeusz, jakby się usprawiedliwiał. — Widzisz, wiedziałem na co go kształcić — podchwytuję Kipa, tylko teraz to on mi maluje jakieś tam takie rzeczy, że sam diabeł by się nie polapał, ty się rozumiesz co na tym, bo ja tam nie mam ojcicia co to?

Rozpętuje się mimowolna dyskusja o malarstwie, żaluję już, że

ludzi stąd równie dobrze jak on sam. Moi rówieśnicy, jeśli nie powyjeżdżali do miasta, pobudowali nowe domy, wszyscy prawie pracują w mieście. Małe działki ziemi — ostatnio pokurczyły się jeszcze bardziej. Domów za to przybyło i właścicieli, którzy tu na tej wsi wykupili place i dojeżdżają do miasta, do pracy. Bo ładnie tu na tej wsi — las blisko do trujących wyziewów daleko, a pociągi elektryczne dowożą w niecałe pół godziny do Łodzi, w dwie minuty do Kolaszek.

Chciałem kupić mleka, ale Tadeusz, który tu częściej bywa — wysłał mnie. W tych dwu wsiach wzdłuż drogi można by znaleźć za ledwie kilku gospodarzy, którzy żyją z uprawy roli i trzymają krowy. Ale i od nich nikt mleka nie kupi, bo mają już stałych odbiorców — tych którzy tu tylko mieszkają, a pracują w Łodzi. Tych zaś jest najwięcej. Wszyscy stąd pracują w Łodzi, lub w Kolaszkach, są robotnikami, urzędnikami, młodzież dojeżdża stąd do szkół średnich i zawodowych. Dla nich to kilkanaście lat temu zelektryfikowano wieś. Daw niej nawet na stacji kolejowej paliły się naftowe latarnie. Teraz na dachach widać liczne anteny telewizorów.

Powoli idziemy do tej stacji, nadjechał właśnie pociąg od Łodzi, wysypują się liczni podróżni — robotnicy z drugiej zmiany, sporo młodzieży z tarczami szkolnymi na rękawach. Za chwilę jest już i nasz pociąg w stronę Łodzi. Z pociągu panorama rysuje się szerzej, widać jak na dłoni, wąskie polećka i coraz więcej domów, gotowych już, albo w budowie jeszcze, coraz mniej słomianych strzech, które tu niegdyś królowały i coraz więcej dachówek.

Ziemi teraz pożytku niewiele — mówi Tadeusz — tyle, że ludzie nowe domki stawiają i uprawiają ogródki. Letników teraz w Zakowicach też mniej, wszyscy woła jeździć na wczasy, do kurortów — to wygodniejsze i bardziej atrakcyjne. A ludzi stąd wchłonęło do pracy miasto, w ziemi już im się nie chce pracować, zresztą na tych skrawkach nikt by się nie utrzymał.

Mijamy kolejne stacje — Justynów, Bedon, Andrejów — wszystkie one i przylegające do nich wsie, co dzień rano i wieczorem roją się od tłumów, które jadą do Łodzi — do pracy, do szkoły. To już nie wsie właściwie, to prawie osiedla typu miejskiego, mniej tu tzw. chłopów-robotników, niż po prostu robotników, dla których miasto nie ma miejsca, oni zasiedlają te miejsca, być może w niedalekiej przyszłości już nie wsie, a dalekie dzielnice wielkiego miasta, które będzie się coraz bardziej powiększało. Taki jest zresztą kierunek rozwoju największych miast na świecie — osiedla domów wokół przemysłowego kolosa.

Dzieli się tymi uwagami z Tadeuszem, on myśli tak samo. I coż to za awans dla tych ludzi dojeżdżających do miasta, jeśli za lat kilkanaście okaże się, że nie mieszkać poza miastem — będzie znaczyło to samo co należeć do elity, która może sobie na to pozwolić — robi do mnie „oko”. Myślę, ciągnę dalej, że i moją wioskę wkrótce wchłonie Łódź, tak jak wchłonięła ludzi z tej wioski do pracy w przemyśle. Czytałem gdzieś, że w przyszłości Łódź ma się rozwinąć właśnie w tamtym kierunku. Tym bardziej że elektryczny pociąg to nie dawna chuchla, do której mogli się dobierać kipiarze, teraz pół godziny i już jesteśmy w Łodzi.

— Tak? No to wysiadajmy.

Wychodzimy z Tadeuszem na wieś i ja tu bywałem przed laty i znam



Grafika

Henryk Pióciennik

Publikujemy poniżej po raz pierwszy w Polsce nieznana historię najstraszliwszej z wojen, jakie wstrząsnęły Ameryką Łacińską w bieżącym stuleciu — historię wojny chłopskiej w Kolumbii. Wybuchła ona przed 16 laty i trwa do dziś, pochłonawszy 500 tysięcy zabitych z 13-milionowego narodu.

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

Zbuntowana KOLUMBIA

Moje oczy, panie gubernatorze, widziały wiele rzeczy. Małemu możność oglądać, jak do miast przybywali mężczyźni okaleczeni, kobiety zgwałcone, schłostane i poranione dzieci... Głównie ludzie spokojni byli ofiarami okrucieństwa i grabieży tych umundurowanych agentów. Oficerowie zajmowali gospodarstwa, mordowali właścicieli i przywłaszczali ich pieniądze, ich juczne zwierzęta i wszystko to, z czego żyli ich poprzednicy. To, co wyprawiali, było skandaliczną orgią rozboju i krwi...

Tak pisał przed paru laty człowiek, który w obliczu tragedii ludu kolumbijskiego chwycił za broń i zapalił jedno z ognisk buntu — Jesus Franco, dowódca chłopskiego oddziału partyzanckiego w departamencie Antioquia.

Tej wojny nie wypowiedziano i oficjalnie jej nie ma, jest tylko przemoc, uwarunkowana jakoby psychiczną skłonnością Południowców do mordu i okrucieństwa. Nieprawda. U jej podłoża leży głód ziemi, najstraszliwszy z głodów szarpających wnętrzności Ameryki Łacińskiej. On to każe obrócić narzędzie pracy — długi nóż „macetę” przeciw człowiekowi; on wypcha do rąk starą strzelbę i nowoczesny pistolet maszynowy. Zjawiał się tu wraz z podbojem hiszpańskim, który rozsiał kolektywny ustrój agrarny Indian i skuł ich agresywną formą własności feudalnej. Pół procenta posiadaczy ziemskich oparowało 31% ziem uprawnych, ich latyfundia przewyższają 500 ha. Milion trzysta tysięcy bezrolnych peonów sprzedaje swoją siłę roboczą za nędzną pensję 65 centów USA dziennie bez wyżywienia, ale praca jest tylko przez 6 miesięcy; przez resztę roku przymiera się głodem, który pcha peona do aktów przemocy, bandytyzmu, okrucieństwa. W żyznych dolinach górskich panuje wielka własność ziemską potomków Hiszpanów — Kreoli, do nich też należą olbrzymie pastwiska na równinach. Dziwny to kraj, w którym na 30 milionach hektarów pasie się bydło, a na 3 milionach uprawia się rolę. Kawa i tytoń oznaczają cywilizację, indyjski chłop natomiast jest dziki, bo uprawia jak jego przodkowie maniok, yams, słodkie bataty, jest dziki, bo nie rozumie, że rozwój gospodarczy kraju przetrwał obszarom kapitałów, pozwalających uprawiać więcej kawy i hodować więcej bydła. Pod kawę i na pastwiska latyfundysta potrzebuje teraz więcej ziemi, ziemi małoproduktowej sąsiada. Zbrojne bandy latyfundystów atakują minifundia, wypędzają chłopów albo mordują opornych, palą chałupy i niszczą „niegodne cywilizacji” stare uprawy indyjskie. Rodzi się bezwzględna i okrutna przemoc. Jednocześnie panowaniu feudalnych panów i ich partii konserwatywnej zagraża nowa siła — burżuazja przemysłowa zorganizowana w partii liberalnej, dla której przebudowa średniowiecznej struktury agrarnej byłaby na rękę. Konserwatyści ustanawiają w r. 1948 krwawą dyktaturę Ospiny Pereza, który stawia sobie za cel eksterminację „liberalizmu”. Na wieś spadają „Guerrillas de paz”, bojówki konserwatystów i rozpoczynają rozróbę pod pozorem walki z liberałami. 9 kwietnia 1948 r. z rąk zamachowców ginie przywódca ludowy, liberala Jorge Gaitan; lud Bogoty odpowiada na tę zbrodnię powstaniem, w którym w ciągu dwóch dni walk ginie 2 tysiące osób.

W momencie, gdy liczba zamordowanych przez bandy konserwatystów osiąga 8 tysięcy, gdy chłop ucieka przed karabinem i macetą „guerrillas de paz”, gdy opornym obcina się głowy, okalecza się ich i żywcem zakopuje do ziemi, a nad „liberalizmem” wisi groźba eksterminacji — najodważniejsi rzucają hasło: przemocy trzeba stawiać opór! W centrum kraju, w górskim departamencie Tolima, odżywa tradycja XIX w., z okresu wojen domowych, gdy „la culebra”, walka podjazdowa niewielkich grup bojowników maszerujących wśród gór w „szyku indiańskim”, święciła triumfy nad przeważającymi armiami wrogów.

Dwaj chłopcy, „Richard” i „Lister”, powstają zbrojnie przeciw przemocy i porywają za sobą masy chłopskie. W górach Sumapaz terrorowi stawiają niespodziewanie czoła chłopcy zorganizowani w oddziały partyzanckie przez wybitnego działacza ruchu agrarnego, Juana de la Cruz Varela.

Te pierwsze oddziały kapitanów „Richarda”, „Listera” i Cruz Varela, związane z partią komunistyczną, staną się na dalszych lat 16, trzonem świadomych celów i środków walki, rewolucyjnych sił zbrojnych chłopstwa kolumbijskiego. Tymczasem ogień rebelii podjęty zostaje także przez liberałów i od departamentu Antioquia, gdzie buntem kieruje Jesus Franco, sięga po olbrzymie równiny wschodnie — Llanos Orientales. Tu na czele zbrojnych chłopów stają Eduardo Franco Isaza i chłopski „caudillo”, samozwańczy generał „Cheito” Velasquez. Partyzanci uzupełniają słabe uzbrojenie bohaterstwem osobistym, jak jastrzębie spadają z zasadzek na wroga, działają z zaskoczenia nie przyjmując frontalnych bitew, ostrzeliwują maszerujące wojska... Znają każdą pędź ziemi, w terenie, w którym wojsko orientuje się przy pomocy mapy, czy nie zawsze pewnego przewodnika, albo nie orientuje się wcale. Taką jest chłopska „guerrilla” — partyzantka — przeciwnik bezkompromisowy, nieuchwytny i nie do pokonania, bo za sobą ma pomordowane rodziny i spalone chałupy, w sobie — pragnienie odwetu, a przed sobą jasny cel: ziemię.

Niezdolne do pokonania takiego przeciwnika — wojsko uderza w ludność cywilną, w wioski. Ale i tu napotyka zdecydowany opór. Oto wyjątek z książki przywódcy partyzanckiego Eduardo Franco:

„Chłopka Elvira. Związana przez żołnierzy, blaga w obliczu śmierci, żeby żołnierze zabili też jej syna, by nie wyrósł na takiego jak jej oprawcy. „Czy wszystkie takie jesteście?” — pyta oficer. „Takie musimy być” — odpowiada Elvira. „Równinne tereny nie kryją partyzantów przed atakami lotnictwa. Jedyną osłonę stanowią palmy porastające równiny i pod nimi kryją się bojownicy, lecz wielu dosięgają kule z broni pokładowej samolotów. Piechota przelamuje opór i wdziera się na Llanos. Wiele powstańców ginie broniąc się zaciekle, wśród nich partyzancki generał „Cheito” Velasquez. Jego śmierć dla niektórych przysłała w samą porę, bo przestał być wygodny dla szefów „liberalizmu”. Członkowie Krajowego Kierownictwa Liberalnego, gdy zamach stanu wymierzony w dyktaturę konserwatystów jest już dobrze przygotowany w wielu garnizonach wojskowych, na dwa dni przed terminem buntu odwołują go i idą

na kompromis z prezydentem Ospiną Perezem. Wynika to z obawy przed ludową rewolucją. Lecz decyzja o odwołaniu zamachu nie dociera do jednego tylko punktu — do bazy lotnictwa wojskowego na Równinie Wschodniej. 27 listopada 1949 r. dowódca bazy, kapitan Alfredo Silva wydaje rozkaz do buntu swoich oddziałów, nie zdając sobie sprawy ze zdrady kierownictwa liberalistów. Opanowano koszarę i uwolniono więźniów politycznych. Jak było do przewidzenia, do zbuntowanych żołnierzy przyłączyła się ludność cywilna. Wspólnym wysiłkiem policja dyktatora została rozgromiona zostawiając 64 zabitych na placu boju.

Zdrada szefów partii liberalnej nie osłabiła walki. Po śmierci chłopskiego generała Velasqueza na Równinie Wschodniej za broń chwycił Guadalupe Salcedo, którego żywioł walki uczynił rewolucjonistą; pod jego dowództwem stanęły tysiące głodujących chłopów, obdartych, często uzbrojonych tylko w maczety, którzy mimo to potrafili trzymać w szachu wojska rządowe na rozległych przestrzeniach równin, atakować wroga i zwyciężać.

Nadchodzi rok 1953. Zażarte walki toczą się na 49 frontach partyzanckich skupiających 60 tysięcy uzbrojonych chłopów. Trzeci od wybuchu wojny dyktator z partii konserwatywnej panuje już tylko nad ośrodkami miejskimi, masowe morderstwa popełniane na bezbronnych chłopach potęgają jedynie opór mas ludowych. Dziesiątki tysięcy opuszczonych gospodarstw wiejskich, wyłudnione wsie — wszystko to podważa istnienie dyktatury. Groźba rewolucji wisi nad głową obszarników i wielkiej burżuazji. Wtedy to szefowie partii liberalnej i niektórzy wpływowi konserwatyści decydują się oddać władzę w ręce reakcji wojskowej, która zdławi powstanie.

13 czerwca 1953 roku gen. Rojas Pinilla dokonuje wojskowego zamachu stanu. Natychmiast obiecuje pokój i udziela gwarancji partyzantom. Inny generał Duarte Blum rusza na Równinę Wschodnią i żąda zawieszenia broni. Dowódcy partyzanci pozostający pod wpływem partii liberalnej przerywają walkę, szereg bojowników topnieją, Guadalupe Salcedo, nie mając perspektyw, wobec ogólnego rozprężenia, składa broń. Wkrótce zostanie zamordowany w Bogocie w policyjnej prowokacji. Walkę przerywa także przywódca chłopski Cruz Varela, ale jego partyzanci nie likwidują swoich baz górskich w Sumapaz, w których przeprowadzono reformę rolną i ustanowiono władzę rad ludowych.

Walki ustają na wszystkich frontach górskich i równinnych...



Grafika

Benon Liberski



Grafika

Leszek Różga

JANUSZ SKOSZKIEWICZ Zielone Listy

Dalszy ciąg ze str. 1

wychylonemu przez okno zdawało się, że go dostrzegła. Sylwetka pięknej pani malała. I nagle owemu pasażerowi wydało się, że ta niktąca w oddali nieznajoma uniosła rękę do ust i (czyżby się mylił) przesyłała jemu całusa. Wsiadła w przesterżony, stapiła się z krajobrazem i po chwili nie mógł jej już więcej dostrzec. Pomyślał ze smutkiem, wsparty o ramę okna, że jest coś dziwnego, a zarazem romantycznego w spotkaniach w pociągach. Zastanawiał się, jaka ona jest i kim jest, i że nigdy już się o tym nie będzie mógł przekonać. Może sobie co najwyżej ją wyobrazić, prowadzić wyimaginowane rozmowy, ale najprawdopodobniej nie spotka już jej nigdy więcej i nigdy się o niej już niczego nie dowie. Smutny, usiadł na ławce i wtedy... zobaczył naprzeciw siebie, na ławce leżącej książkę, którą czytała nieznajoma. Zostawiła książkę w pośpiechu. Wziął ją do ręki. Spojrzał na tytuł: „Wychowanie sentymentalne” Flauberta. Zaczął kartkować. Czytał fragmenty powieści z wciąż rosnącym zainteresowaniem.

Zbieg okoliczności? Jeden z tych dziwnych przypadków, jakie trafiają się w życiu, kiedy pewne sprawy lub myśli kondensują się w sposób przedziwny, ale pełen zastanawiającej logiki. Akcja książki rozgrywa się w dziewiętnastowiecznym Paryżu. W dniach lutowych 1848 r. Akurat w tych dniach i w tym mieście, o których rozmyślał ów pasażer patrząc na piękność naprzeciwko i wyobrażając ją sobie na modłę dziewiętnastowieczną. Owa pani żyła, w płaszczu według najnowszej mody dwudziestego wieku, wysiadająca pośpiesznie na przystanku o nazwie Słodyszka Rzepakowego wydawała mu się, mimo absurdalności tego założenia, jakby wyjęta wprost z powieści Flauberta o Paryżu sprzed wieku. Dziwne? Prawda? Już się Pani zapewne musiała domyślić, że pisze o Pani i o sobie. W książce, w charakterze zakładki, znalazłem kartkę z życzeniami imiennymi. Myślę, że nazwisko i adres odnosi się do Pani. Wysyłam więc książkę adresując według tego, co znalazłem na kartce. A Flauberta przeczytałem starannie wynotowując sobie niektóre szczegóły. Tak. Nie będę tego przed Panią ukrywał. Piszę powieść. Zebrałem materiały historyczne, ale historycy, niestety, są rzadko ludźmi obdarzonymi wyobraźnią. Nadzwyczaj zdarzenia na daty jak owady na szpilki. A mnie jest potrzebny smak i barwa epoki. Potrzebne mi jest życie. A z tym Flaubert nie najgorzej. Spacerowałem z nim po Paryżu wyczuwając się w L'Éducation sentimentale i wiem już dużo, znacznie więcej niż przedtem wiedziałem. Wiec chyba nie gniewa się Pani, że dopiero teraz odsyłam jej książkę. Byłoby mi bardzo miło, gdyby napisała Pani do mnie choć parę słów. Adres podaje na odwrocie koperty. Przesyłam pozdrowienia i całuję ślicznie rączki

Stanisław B.

Bocianki 15.IV.60.

SZANOWNA PANI HALINO!

Dziękuję za miły liścik i za to, że się Pani na mnie nie gniewa. Pani słowa zrobiły mi wiele przyjemności. Pyta Pani co robię na zabitej desce? Wsi. No, nie tak bardzo zabita deska. Parę kilometrów za ledwie do powiatowego miasteczka, trzy kilometry do przystanku kolejowego. To nie tak wiecie. Jak się tu znalazłem? Och! To skomplikowana historia, ale w skrócie wygląda tak, że po prostu uciekłem, wyrażając się pompatycznie, od zgiełku i gwaru wielkiego miasta. Stanisławie, powiedziałem sobie (nie tylko ja tak powiedziałem sobie, ale i mój przyjaciel Jerzy, któremu na pół roku odstąpiłem mój pokój) tu w mieście (w którym i Pani mieszka) niewiele napiszesz. Trzeba ci spokoju, ciszy i słona, słowem tak zwanego „łona natury”. Bierz więc zaliczek w wydawnictwie (i wzięłem) i jedź chłopce na owe niwy kłosem szumnie, pódz nad strumyk co łagodnie szemrze, wdychaj w płuca zapach kwiecia z pół rodzinnych i pisz swoje wielkie dzieło.

No i przyjechałem na „łono natury”. Na owym tonie jest trochę inaczej niż sobie to wyobrażałem, Droga Pani Halino. W izbie, gdzie siedzę i próbuję pisać, aż drża ściany od ryku głośnika radiowego. Od czasu do czasu wylaczają radio, ale wtedy słyszę gromki głos Marychy (młodsza, ale główna ranga gospodyni), która głośniejszymi okrzykami zabawia swą córeczkę Ludwisie, albo nie szczędzi uwag swemu mężowi. Ten wysłuchuje w milczeniu potoku słów, co Marychne zdaje się jeszcze więcej podniecać. Przyzwyczajona do rozmawiania w polu, gdzie trzeba krzyknąć, aby być słyszany, Marycha i w izbie nie ścisza głosu. Dziś na przykład zostałem w chałupie sam. No, myślę sobie, teraz trochę poprawię. Ledwo zasiadłem do maszyny, tuż pod moim oknem rozległy się potężne ryki. Było to coś pośredniego między głosem trąb jerychońskich, a beczenie żarzynowego woku. To Artek (syn gospodarzy) wraz ze swym kolegą zrobili sobie „dulałki” z kory wierzby i dudnią na owych instrumentach tak, że umarłego by zbudzili. Doprawdy, jeśli to o takich fujarkach (Jasio fujarki kreślił z wierzby...) pisał z zachwytem nasi młodopoiscy poeci, - to albo

byli głuchawi, albo niezgorzej fantazjowali. Staram się teraz pisać w nocy, ale wtedy zaczyna wyć Nero, pies uwiązany przy siodole i nie spuszcza z łańcucha nawet na noc. W dzień śpi, a gdy zmrok zapadnie rozpoczyna swoje wycia. No, dość tej pisaniny. Zanudzę Panią na śmierć.

Przesyłam pozdrowienia najbliższe i najserdeczniejsze, i.e. jeśli ów całus przesłany był dla mnie, w chwili gdy Pani zgrabna sylwetka nikła na horyzoncie, odważam się na rewanż.

PS. Jeśli moje zielone listy (zielone, bo innego papieru nie udało mi się, niestety, dostać) nie nudzą Panią, proszę o utrzymywanie korespondencji. No, i... niechże Pani mi coś o sobie napisze.

SB.

Bocianki 26.IV.60.

SZANOWNA PANI HALINKO!

Czy Pani słyszała o duchach na Bociankach? Jeszcze nie? O! Z pewnością Pani usłyszy. Tu mówi o nich nie tylko cała wieś i wsi sąsiednie, ale nawet pytano mnie o nie w miasteczku.

Pani Halinko! Wobec dość skąpych wiejskich atrakcji duchy są elementem pożądanym. Ba, wygodnym, tanim i higienicznym. No, bo niech Pani pomyśli... U Józefiaków (to jakieś cztery chałupy stąd) jakiś czas temu kupiono sobie telewizor. Początkowo było to nie lada sensacja. Na „telewizor” zbiegła się połowa wsi. W dusznej od papierosowego dymu izbie, tłoczono się w sposób niesamowity. Reszta ludzi tłoczyła się na podwórku starając dotrzeć do okna, przez które mogliby popatrzeć na ekran. Ale już wkrótce znacznie się przedzieliło. Biegają na telewizyjne seanse jedynie dzieci. Starsi, jak np. nasza Marycha, mówią, że w tym „telewizorze” nie ino ciekawie paski latają, a poza tym twierdzą, że gdyby zechciała to zaśpiewałaby znacznie lepiej i głośniejsz niż ta ryba w telewizorze. Dlaczego „ryba”, nie wiem. Inni twierdzą także, że na te chudziutki, które występują przed kamerami telewizyjnymi nie ma co patrzeć. Dziewczeta łowiciele są znacznie piękniejsze. Także „Kobra” nie wzbudza tu większego zainteresowania.

Co tam telewizor! Tylko dzieci to bawi. Wiesz ma znacznie poważniejszą atrakcję. Z duchami.

Dowiedziałem się o nich niemal zaraz po przyjeździe. U schyłku dnia kiedy siedzieliśmy wszyscy w kuchni, a Marycha zaglądała kluski (och! te kluski - od dwóch tygodni Marycha robi tylko kluski), wpadła jak bomba przerażona Wincentowa (starsza gospodyni). Zatrzymała się pośrodku kuchni. Jej ręce zaczęły nerwowo skubać kraj chustki.

A co tam, matka? - zagađnęła ją niespokojna Marycha.

— On — wyszeptala Wincentowa. — On — powtórzyła i siadła ciężko na krześle.

Marycha spojrzala porozumiewawczo na męża skracającego flegmatycznie papierosa. Artek odłożył pióro (pisał właśnie wypracowanie).

— No i co? Co mówił — dopytywała się Marycha przerywając zmaganie klusek.

— Mówił co do mamy?

Stara przygarbiła się, poprawiła chustkę na głowie.

— Mówię wam — zaczęła tonem dość pompatycznym — mówię wam, że on znowu przyszedł. Wylałam całe wiadro z mlekiem — dodała po chwili.

— O! Jej — odezwał się mąż Marychy — to z czym kluski będziemy jedli.

— Ty, Stefan, to tylko o żarciu myślisz — z oburzeniem krzyknęła Marycha.

— Zebym tak do roboty się brał jak do żarcia — dodała tonem pełnym dezaprobaty.

No, matka, opowiadajcie.

— Co tu opowiadać — powiedziała jakoś niechętnie stara i zaraz zaczęła: — Właśnie dołmam laciata, chce przejść do tej drugiej, aż tu słyszę coś skrzyp, skrzyp za mną. Otwieram się, a to on. Stoi i patrzy na mnie.

— Mówił coś — odezwał się Stefan.

— Nie przeszkadzaj — ofuknęła go Marycha.

— Nie — ciągnęła stara — nie nie powieździał. — Stał w wrotach obory i cięgiem na mnie patrzył, a głowa kiwała.

— I głowa powiadacie kiwał? — dopytywała się Marycha.

— Wincenty! mówię ja do niego... — ciągnęła stara. Przerwała, bo nagle drzwi się otworzyły i wszedł Ignac. Popatrzył na wszystkich uważnym spojrzeniem. Zapanaowała cisza. Wszyscy skierowali wzrok ku niemu.

— No, co tak się patrzyście — odezwał się Ignac. — I milczycie, jakby wam mowe odejęło.

Stara wstała z krzesła. Patrząc wprost w oczy Ignaca powiedziała: „Ojciec znowu przyszedł!”

— A czego chciał? — spytał Ignac cicho.

— Czego chciał, czego chciał... — mruknęła Wincentowa. — O te figure przyszedł się upominać — wyjaśniła.

— No, trzeba mu te figure na grobie postawić — rzekł Ignac siadając ostrożnie na krześle. — Przecież ma ja przyrzekłicie.

— Przyrzekłam, przyrzekłam — zawołała stara. — Tylko skąd pieniądze na to wziąć.

Zamiast chałupy stawiać, zadbałbyś o ostatnią wolę nieboszczyka. Wszystkie pieniądze tylko na te kamienie — dodała z nutką ironii w głosie. A teraz jeszcze żeniaczka ci w głowie...

— Chałupę za moje pieniądze... — mruknął Ignac. — Kamienica musi być...

— Tak, musi być — zawołała Marycha z szyderstwem — a o figurze to już zapomnieliście.

— Figura! Figura! wybuchnął Ignac. — A nie można by sprzedać tak ze dwie morgi? I tak wszystkiego porządnie obrobić nie można.

— Dam ja ci sprzedawać — z oburzeniem krzyknęła Wincentowa. — Widzicie go! To po to harowaliśmy z ojcem, żeby teraz dzielić, sprzedawać, marnować. Ani mi się waży podobne głupstwa pisać. A figurę trzeba postawić, zrozumiałeś, Ignac?

— Trzeba, trzeba — mruknął Ignac — tylko skąd pieniądze wziąć? Zebym nawet i kamienicy zaraz nie wykończył, to i tak pieniędzy nie będzie. Może gdzie pożyczę — zastanowił się po chwili — wtedy figurę by się sprawiło i ojciec nieboszczyk przestałby przychodzić. A tak ciąglem się zjawia.

Droga Pani Halinko! Boję się czy nie za rozwiekle przedstawiam pani rzecz całą.

Ale starałem się oddać rozmowę, której byłem świadkiem, możliwie autentycznie. Czy Pani coś z tego wszystkiego rozumie? Duch zmarłego ojca (Boże! Czy to ech Szekspira trafiły pod strzechy?), figura, wykończenie „kamienicy”, projekt żeniaczki Ignaca. Z początku ja też niewiele z tego rozumiałem. Gdzie tu jakikolwiek związek logiczny. Ale zdaje się, że zrozumiałem — wszczęło o co chodzi. W pierwsze pojawienie się ducha wtajemniczyła mnie Marycha. Działo się to jeszcze w zimie. Ignac wrócił akurat z roboty (każdej zimy jeździ do miasteczka i pracuje w przedsiębiorstwie budowlanym). A więc Ignac siedział w izbie. Szarżało, więc jeszcze nie zapalał żarówki. Przykucnąwszy przy piecu zaczął podkładać ogień. Wtedy to przez zamknięte drzwi wszedł jego zmarły przed dwoma laty ojciec, Wincenty. Ignac odwrócił się, gdyż posłyszał coś jakby lekkie stapanie. Wincenty milczał podszedł ku niemu. W piecu zajęły się ogniem drwa i różowawy poblask oświetlał izbę. Twarz nieboszczyka była szaro-biała, jak przystało na przybysza z zaświatów.

Wincenty przez chwilę patrzył na zniechęconego w przerażeniu syna, skulonego wolaż przy piecu.

— Budujesz się — powiedział Wincenty. — Budujesz się, Ignac.

Tamten poderwał się, stanął naprzeciw zmarłego, ale duch znikł. Potem Ignac usłyszał jeszcze jak trzasnęła furtka, jakby ktoś przez nią wychodził. Ale pies nie zaszczekał. Widać poznał swego zmarłego gospodarza — pomyślał Ignac. Do tej pory nie wie, czy to, co mówił duch, jest aprobatą czy nagana. Czy ma się dalej budować, czy też przerwać budowę i postawić figurę na grobie, bo podobno taka była wola nieboszczyka. W tej chwili Ignac nie ma pieniędzy, wszystkie włożył w budowę. Matka i siostra nie mają chwilowo gotówki na postawienie figury. Tak więc, Droga Pani Halinko, jest wszelka nadzieja, że duch nadal będzie składał wizyty (oczywiście według powszechnego tu mniemania). Ja ze swej strony prosiłem wszystkich, aby mnie zawołano, gdy duch przyjdzie. Chciałbym to zobaczyć. Co Pani o tym wszystkim myśli? Wszyscy zgodnie tu twierdzą, że Ignac nie brał kłóśizka do ust w ten wieczór, kiedy pojawił się duch.

A teraz o czym innym. Skąd Pani właściwie zna się na tresurze psa? Za cenne uwagi składam tysiąc serdecznych dzięków. Nero po zastosoowaniu tresury według Pani wskazań zaczyna już do mnie merdać ogonem. Ale poglaskać go... jeszcze się boję. To potężne psisko, a jakie ma kły. Poza tym nie podoba mi się jego spojrzenie. Mam wrażenie, kiedy na niego patrzę, że myśli sobie: „Chodź no tu bliżej dwunogu, a przekonasz się, jakie mam kły”. Ma je rzeczywiście duże, ostre jak szpilki. No, miejmy nadzieję, że obsługując się Pani metoda tresury niedługo będę mógł spuścić go z łańcucha. Bo naprawdę strasznie mi żal, że tak siedzi wciąż przy budzie. Oczywiście nie wtajemniczam w moje plany gospodarzy. Według ich mniemania pies jest po to, żeby całe życie siedział w budzie lub przy budzie. Taki już jest psi los i basta. Czasem zdominują mu nawet dać jeść. Przypominam im o tym. Czasem to nawet skutkuje. Brozurę jaką Pani dołączyła na temat wychowania psa myśliwińskiego, przeczytałem. Tylko Droga Pani Halinko, czy nie mogłaby nie Pani zwolnić od wdrapywania się na drzewo? Trzeba — jak pisze autor brozury — siedzieć na gałęzi, wykrzykiwać odpowiednie hasła i cisnąć w psa kamieniami.

Przesyłam tysiąc pozdrowień

Stanisław B.

URSZULA KOZIOŁ

KOLEDA

Tak goły, tak bezbronny, że bez cudzej skóry bez cudzych włókien tyka ktoś z nas byłby w stanie porównać się z żyrąfa czy chociażby z płazem (znowu nam się narodził położył go w sianie)

A widzieliście żółwia przemysłową bryłę tak współbrzmiejącą z epoką która ledwo wstaje widzieliście pasterkę godną dyplomaty mądrość jego oblicza (położył go w sianie)

W uroczysko koledy wieczne węże zwolajmy owe świadki koronne grzesznego urodzaju (objawna znakiem Wenus solną pianą zawadzi o świecznik ołowiany wieloramiennych sadów)

I jak tu o godności — nieodporne ciało wyczołgane z pieczary, nieprzystosowane z wielopięter do piwnie w porę ołowianych wyprowadź — (się narodził położył go w sianie)

A nam dęby wydęte blacha bęben muzyka albo kornie wypięta dynia dupy na płask a nam żłób i do żłoba kosmos raj i fizyka szable światła żaloba rach-ciach —

Uzbrojony krokodyl gotowy do strzału tylną okiem na gwiazdę czy to aby ten blask drgnęły żółwi pancernych cylindryczne zady kopul wparty o skarpy nieforemnych łap.

A my z szopy do szopy a my cośmy widzieli tego w żłobie na siano tego w sośnie do ziemi tego z nosem do gazu wybranego promieniem

„Chwała na wysokościach pokój na ziemi”.

co nam pisane nigdzie zapisane nie jest zbyt nagle się to dzieje i nieprzewidywanie

skalkulowani w masę dobrze obrachowani sprawdzamy się w statystyce cyfrą nie twarzami

pali się papierosa je się śpi się pije wita się żegna kocha przybywa na wadze ubywa komu zgony katastrofa sława drzewi bez klamek kto katem dziś jutro co komu

przygotowano zamach i gotowa cęła tortur komora druty bomba szwank na honorze blakają się pociski zwiększona wywrotność pojazdów rośnie ilość samolotów spadek pożar lub zatonięcie powódź ocalenie wygrana wynalazek nagle krew zaraza

w przewidzianym wykresie jutra wypadkowa statystycznie się sprawdza cyfrą nie twarzami

w bezsenną noc się zjawia możliwości rejestr cudzych niedawnych nieszczęść doświadcza się pamięć

lecz co nam jest pisane, nigdzie zapisane nie jest.

to nas zastaje nieprzygotowanych

NIE od razu KRAKÓW ZBUDOWANO

Przez trzy piękne, majowe wieczory prezentowano Łódzkiej publiczności dorobek twórczy studentów PWSTF z okresu ostatnich dwóch lat. Festiwal Filmów Szkolnych posiada już swoją tradycję, a w tym roku zyskał szczególną rangę z uwagi na zbliżający się jubileusz 15-lecia tej jedynej w kraju filmowej uczelni. Uczelnia, która wyhodowała prawie całą naszą aktualną kadrę filmową w stanie czynnym. W ostatnim dniu Festiwalu mieliśmy możliwość obejrzenia kilku elaboratów dzisiejszych mistrzów. Okaże się, że nie od razu Kraków zbudowano. W tym kontekście napawała niewątpliwym optymizmem.

Oczywiście niełatwo znaleźć kryteria oceny dla filmów szkolnych. Trzeba pamiętać, że są to swego rodzaju wypracowania lub prace seminaryjne, w których student musi wykazać się opanowaniem pewnej wiedzy z zakresu realizacji filmów. Prace te są w dużej mierze podstawą promocji studenta i dlatego muszą odpowiadać określonym wymaganiom (dotyczy to szczególnie studentów młodszych lat). Nie można więc traktować ich tak jak normalnych filmów krótkometrażowych. Z drugiej strony są to jednak próby sa-

modzielnego, artystycznego tworzenia, świadectwa wykluwania się jakiegokolwiek indywidualności, jakiegokolwiek sposobu widzenia. I tu należy do dać, że szkoła gwarantuje o wiele większą swobodę tworzenia niż kinematografia „dorosła”. Szkolny system pozostawia duży margines dla eksperymentowania i poszukiwania w dziedzinie zarówno treści jak i formy.

Jakie wrażenia wyniosła publiczność festiwalu, doszukując się w przedstawianych jej filmach rysów przyszłego oblicza polskiej kinematografii? Wrażenia chyba dosyć mieszane, aczkolwiek jak już wspominałam, niełatwo jest znaleźć właściwą miarę oceny tych filmów. Traktując jednak te prace poważnie (bo przecież po to je nam pokazano) warto zwrócić uwagę na parę znamienych spraw.

Przede wszystkim rzuciła się w oczy wyraźny wpływ nowej fali w szerokim tego słowa znaczeniu na twórczość młodszych realizatorów. Wpływ, niestety (jak i zresztą w przypadku kinematografii „dorosłej”) niezbyt przetrwały i prze-myślane. Przejmuje się głównie pewne zewnętrzne chwytły, które przecież w oryginale służyć mają wyrażeniu jakiegoś nowego widzenia świata. Charakterystyczną cechą nowych fal w różnych krajach jest dążenie do odnalezienia własnego, indywidualnego oblicza na płaszczyźnie formalno-stylistycznej i żywa, a nawet czasem ostra polemika z zastanym konformizmem moralnym, obyczajowym, ideowym czy politycznym na płaszczyźnie treści. Mimo powszechności zjawiska, nowe fale noszą charakter narodowy, bo specyfika narodowego konformizmu określa kierunek ich uderzenia. Istotnym znamię naszej pseudonowej fali jest natomiast jej absolutna wtórność, wyrażająca się właśnie w zewnętrznych przejęciach chwytów warsztatowych i stylistycznych oraz motywów treściowych. Niestety, odnosi się to również i do produkcji szkolnej, z wyjątkiem filmu Skolimowskiego, w którym (mimo różnych rodowodów) jest niewątpliwie coś z oryginalnej, polskiej nowej fali. Swo-

istą polską odmianą nowofalowej drogi są filmy „chodzone-biegane-jechane”. Nie trudno odgadnąć w jaki sposób wzbogacają one bujną już dziś tradycję filmów tylko „chodzonych”. Zdumiewa zwłaszcza obsesja jazdy samochodem po ulicach, oczywiście nocą i oczywiście przy niezbyt obfitym blasku neonów rozjaśniających główne ulice głównych miast. I obsesja wewnętrznych monologów idąca w parze z literackością etiud, literackością pomysłów, efektów i point, dialogów i prowadzenia opowiadania. O ile filmy szkolne ujawniają znaczącą fascynację mistrzami zagranicznymi (Antonioni, Resnais, Malle itd.) to wpływ rodzimych mistrzów wydaje się być znikomy (widocznie nie cieszą się oni nadmiernym autorytetem u młodego pokolenia). Można by tu właściwie wymienić dwa nazwiska: Różewicza i Karabasza. Wpływ pierwszego widoczny jest w niektórych etiudach fabularnych, indywidualność artystyczna drugiego ukształtowała oblicze szkolnego dokumentu („Jubileusz” Wójcika, „Przerwa” Thoroddsena, „Szkoła uczyć” Bernsteina itd.). Dokument stanowił chyba mocniejszy punkt Festiwalu niż fabuła. Świadczy o tym także podział nagród, zarówno w Łodzi jak i w Warszawie. Martwi tylko ograniczony zakres zainteresowań — głównie teatr. Tu najciekawszą pozycją, przede wszystkim z uwagi na polemiczny charakter był „List z Opoli” Elstera, w którym rzetelność relacji idzie w parze z bardzo subtelnie przeprowadzoną próbą interpretacji. Brak jednak pu-blicystyki społecznej, brak odważnych prób „przetwarzania” rzeczywistości, a zwłaszcza jej mało znanych i mało ogólnych rejonów. Pozytywną stroną pokazywanych filmów dokumentalnych jest natomiast dobra, nowoczesna praca operator-ska widoczna zwłaszcza w „Szkoła uczyć” i „Jubileusz” (B. Dziworski). Chociaż nie zamierzam recenzować poszczególnych filmów, nie sposób nie wymienić dwóch bardzo ładnych, bardzo ludzkich i lirycznych, choć każda w innym rodzaju, etiud dokumentalnych. Mam na my-

śl „Getto elsy” Afanasjewa i „Rocznice” Brejdy-ganta. Oba filmy cechuje świeżość spojrzenia i bardzo silne, bardzo osobiste zaangażowanie się autorów w przedstawianie przez nich sprawy.

Brak odwagi w podejmowaniu trudnej czy nowej tematyki jeszcze dotkliwiej daje się odczuć w fabule. Na szczęście, jak to wielokrotnie podkreślano, przeminięła już moda na dziwniania i metafizyczne głębie, tudzież schemat: chłopiec — dziewczyna i towarzyszące temu rekwizyty. Nowe mody jak już wspominałam zastąpiły stare. Pretensjonalność niestety pozostała. Parę etiud, przyznajmy uczciwie, podejmuje się tzw. trudne problemy moralne. Bardziej dojrzałe czyni to Budkiewicz w „Opowiadaniu niemoralnym” i Olejniczak w „Stacji VII”, natomiast tenże Budkiewicz w „Mieszkanu”, a całkiem nieprzekonująco Lisowska w „Sali nr 1”. Tu oczywiście miejsce na „Rysopis”, najdłuższy i najciekawszy film Festiwalu. Film bardzo autorski, przeniknięty aż do perforacji indywidualnością autora (która może się komuś podobać albo nie, ale nie sposób jej nie zauważyć). Dzięki temu bardzo autentyczny. Bo nareszcie ktoś mówi w filmie to, co ma wolę i nieprzymuszona, wolę powiedzieć, a chwilami więcej, bo to co mu ślina na język przyniesie (bardzo cenne). Nareszcie ktoś wykorzystuje kamerę zgodnie z jej przyrodzoną naturą, to znaczy do podpatrywania, oglądania, przenikania, prawdziwej, a nie sztucznie wymyslanej i skonstruowanej rzeczywistości. Nareszcie wiadomo po co potrzebna jest w Polsce twórczość dramatyczna i dlatego bohater obowiązkowo ma spacerować. Nareszcie ze spacerowania coś wynika i nawet samo spacerowanie też z czegoś wynika. Mnóstwo improwizacji, mnóstwo rzeczy podpatrzonych, podsłuchanych, mnóstwo tzw. „młosa” filmowego. Kapitałne są zwłaszcza (o ile się je w ogóle słyszy) dialogi, nieliterackie, niepełne, bardzo autentyczne trochę jak to w życiu bełkotliwe i niepoprawne. Lamanie przez Skolimowskiego faktora — n.b. kreacja

w bardzo nowofalowym stylu normalnie przyjętej intonacji zdań, nadaje im jeszcze osobliwszy smaczek. Skolimowski jak się zdaje czerpał nie tyle z francuskich i włoskich, ile z angielskich wzorców i to w naszym klimacie przyniosło lepsze rezultaty. Tym bardziej, że potrafił tak istotnie dla angielskiej nowej fali podejście socjologiczne, obserwację środowiskową, problem młodego człowieka w życiu, znakomicie spolszczyć i przeszczepić na rodzimny grunt. Na ogół filmy o młodym pokoleniu robią monumentalni starszaki. Tym razem zabrzmiął głos młodego pokolenia o sobie samym i to nie tyle do potomności ile do współczesności. Nie brak w tym filmie poezji i eks-hibicjonizmu (ale to też cecha pokoleniowa), nie ma natomiast, na wielkie nieszczęście i autorów — histerii. Rzecz jest potraktowana nawet z lekkim przymrużeniem oka, nie bez znaczącej dozy autoironii — novum w śmiertelnie zawsze poważnym polskim kinematografie. I nie przynosi to, o dziwo, żadnej ujemnej powadze poruszanych problemów. Bezsprzeczna zaleta „Rysopisu” jest jego antyilustracyjność, antyschematyczność, jest próba możliwie wszechstronnej i pełnego naszkicowania portretu „nieokończoności” bohatera, który sam chce odnaleźć swój rysopis. Do problematyki tego filmu z pewnością jeszcze powróćmy.

Etiudy Łódzkiej Szkoły wykazują poprawne, rzetelne rzemiosło, dobrą operatorkę, znaczne odczytanie filmowe. Mało w nich natomiast młodzieńczej pasji de maskowania i poprawiania świata, mało odważnie, mało gniewności. Widocznie moda na „gniewnych” nie przyjechała do Łodzi. Młodzi ludzie z dobrych domów pozostawili ją rodzimym chuliganom. Mało w tych filmach indywidualności autor-skiej, takiej właśnie jak w „Rysopisie” Skolimowskiego z jednej strony, a w „Getcie elsy” Afanasjewa z drugiej.

Maria Kornatowska



SIEDMNASTY FESTIWAL FILMOWY W CANNES.

Rok bieżący jest jubileuszowym rokiem dla festiwalu w Cannes. Dwadzieścia pięć lat temu 1 września (1) 1939, pod przewodnictwem Ludwika Lumiere'a otwarto w Cannes I Międzynarodowy Festiwal Filmów Fabularnych. Od tego czasu minęło 25 lat, ale tylko 17 festiwali — wojna przerwała oczywiście rozpoczęty cykl festiwali.

Pierwszym założeniem organizatorów było typowanie najlepszych filmów spośród najlepszych zgłoszonych przez poszczególne kraje. A więc nie międzynarodowy konkurs — jak to ma miejsce dzisiaj — tylko przegląd filmów zgłoszonych przez kinematografie narodowe. Każdy kraj, który zgłaszał filmy, otrzymywał za swoje najlepsze dzieło Grand Prix. Czy było to słuszniejsze i ciekawsze? Chyba nie. Ale jednak ograniczało trochę charakter międzynarodowej giełdy.

I Festiwal odbył się, pomimo wojny, która już się przecieżyła, z wielką paradą i sukcesem. Wszyscy Wielcy światła filmowego zaszczytli go swoją obecnością, a wytwórnia Metro-Goldwyn-Mayer przysłała swoich reprezentantów specjalnym transatlantykami. Ale rynek neonowy pogasił i zapalił się ponownie dopiero w 1946 r.

W roku bieżącym przewodniczącym jury jest weteran filmu niemieckiego i dzwiczkowego, Fritz Lang. Przewoduje się w tym roku nową nagrodę: „Złoty Bilet” dla najlepszego filmu francuskiego i zagranicznego, który uzyska największą frekwencję w czasie festiwalu. A więc nagroda publiczności... to chyba jednak obniża trochę rangę festiwalu, zwiększa natomiast jego atrakcyjność.

Naszą kinematografię reprezentuje „Pasażerka” Andrzeja Munka. Jakże ma szansę? W chwili ukazania się tego numeru będzie już wszystko wiadome. Nie bawmy się więc w niepotrzebne prorocтва.

* * *

A oto nasze typy — oparte wyłącznie na osobistym naszym poglądzie i sympatii: „UWIEDZIONA I OPUSZCZONA” — (Włochy) — reż. Pietro Germi. Film, który jest swojego rodzaju dalszym ciągiem „Rozwoju po wlosku”. Honor rodzinny a la Scylla.

„PARASOLE Z CHERBOURGA” — Jacques Demy i Michel Legrand (Francja). Film muzyczny, poetycki, sentymentalny i barwny. Opowieść o pięknej i smutnej miłości.

„GŁADKA SKÓRKA” — (Francja) Francois Truffant. Jeszcze jeden film o miłości. Cztery filmy fabularne twórcy „400 uderzeń”. „Strzelajcie do pianisty”, „Jules i Jim”.

No i oczywiście nasza „PASAZERKA”.

* * *

Naszym kandydatem do nagrody „Złotego Biletu” jest monumentalny cyrk z udziałem Zofii Loren — „Upadek Cesarstwa Rzymskiego” — reż. Anthony Mann. Zofia Loren, Alec Guinness, James Mason i Mel Ferrer na szerokim ekranie i w kolorach jak najbardziej naturalnych.

Znów Roman Polański na tapiecie, czy może lepiej: na kolumnach prasy filmowej. Tym razem z okazji premiery filmu „Najpiękniejsze oświata świata”, w skład którego wchodzi nowela „Rzeka Diamentów”, zrealizowana przez „okrutnego i romantycznego” Polańskiego. Krytyka przychylnie ocenia te prace „bardzo oryginalnego realizatora polskiego”. Pozostałe trzy nowele realizowali: Claude Chabrol — zjadliwy, Uzo Gregorini — tylny i Hosikawa — subtelny.

LISTA KLASYFIKACYJNA

Pierwszy mecz naszej piłkarskiej reprezentacji. Pierwszy mecz międzypaństwowy. Mamy go już za sobą. Wygraliśmy. Nie liczyliśmy na to. Spodziewaliśmy się przegraną. Nie mogliśmy przecież zestawiać najlepszej drużyny. Ten i ów był chory, ten i ów kontuzjowany. A jednak wygraliśmy. To poprawi naszą pozycję na listach klasyfikacyjnych. Nie będzie to wielki awans. Gdybyśmy wygrali z Włochami, z Anglią, z Czechosłowacją... Ale Irlandia? Południowa Irlandia? Reprezentacja południowej Irlandii nie ma najlepszej opinii. To słaba, to licha drużyna. Może niebezpieczna u siebie, w Dublinie, gdy zrywa się hałas dopingujących kibiców, lecz nie tu, w Krakowie. Przy obecnej publiczności, na obcym boisku. Nie obiecyujemy sobie zbyt wiele po wygranej. Jeśli za jej sprawą przesuniemy się o jedną, o dwie pozycje do przodu na listach klasyfikacyjnych, to i tak dużo.

Listy klasyfikacyjne! Układane przez ekspertów, zestawiane przez specjalistów! Co roku publikują je pisma sportowe całego świata. Listy najlepszych. Najlepszych bokserów, najlepszych koszykarzy, najlepszych tenisistów. Sięgamy po nie. Czytamy, wyciągamy się, po to, by im się przeciwstawić. By spierać się, rozkładać ręce, kiwać głowami. Bo w gruncie rzeczy... W gruncie rzeczy nie mamy zaufania do list klasyfikacyjnych. Takiego zaufania, jakie mamy do wyników. To naturalne. To przecież zrozumiałe. Lista klasyfikacyjna nie jest prezentacją cyfr. Nie mówi już tylko o tym, kto najdalej pchnął kulą i kto wygrał turniej w Wimbledonie. Jest pomiarem. Pomiarem wartości zawodnika, klubu, reprezentacji. Jest odpowiedzią. Odpowiedzią na pytanie, kto był najlepszy? W zeszłym miesiącu, w zeszłym sezonie, w zeszłym roku? Lista klasyfikacyjna mierzy wartość. Jest to nie tylko wartość biegańca, piłkarza, dyskobola. Przedmiotem pomiaru jest zarazem trener. I jego metody treningowe. Jego strategia, jego pomysły taktyczne. Przedmiotem pomiaru bywają również i selekcjonerzy. Francja ma kłopotliwą pozycję na liście piłkarskich reprezentacji kontynentu. Kłopotliwa i zastępowana. Przegrana mecz po meczu. Nie wiem, czy całą winę ponoszą tu francuscy piłkarze. Nie jestem tego pewien. Weale nie jestem pewien. Myślę, że odpowiedzialność w pewnym przynajmniej stopniu spada na kapitanat francuskiej piłki nożnej. Na selekcjonerów, którzy nie mają szczęśliwej ręki, zestawiając reprezentację. Którzy nie najlepiej dobierają graczy. Mylą się. Mylą się raz za razem. I oto Francja ma gorszą reprezentację niż mogłaby ją mieć.

Lista klasyfikacyjna jest tedy oceną. Ukrytą, zamaskowaną oceną.

Jakże więc tu pozbyć się podejrzeń? Jakże zastąpić je prostoduszną ufnością? Nie budzi jej wartościowanie. To ono jest sprawcą naszych kłopotów. Poprawek, sprzeciwów, grymasów. Gdybyśmy mieli przed sobą opis! Zwykły, czysty opis! Ach wtedy, wtedy sytuacja przedstawiałaby się całkiem inaczej. Czyż jednak nie mamy go przed sobą? Nie dajmy się zwieść pozorom. Lista klasyfikacyjna? Nie jest przecież wartościowaniem. To zespół hipotez. Hipotez deskryptywnej natury. To układ zawodników. Albo klubów. Albo reprezentacji. Kolejność wynika z tej pozycji. Z kolejnością związana jest hipoteza. Hipoteza głosi, że gdyby każdy zawodnik spotkał się z wszystkimi innymi zawodnikami i gdyby zależało mu na wygranej, to w rezultacie owych spotkań zająłby wskazaną na liście pozycję. Zająłby, ponieważ zgromadziłby odpowiednią ilość punktów. Oczywiście, przy powszechnie przyjętej zasadzie punktowania. Jeśli więc w roku ubiegłym Szwecja zajmowała pierwsze miejsce na wielu listach najlepszych reprezentacji piłkarskich kontynentu, to było to efektem przypuszczenia, że uplasowałaby się ona na pierwszym miejscu w lidze złożonej z reprezentacji. Reprezentacji wszystkich krajów europejskich.

Czemuż tedy krzywimy się, spoglądając na listy najlepszych? Czemuż wpatrujemy się w nie bez zaufania, z ledwie skrywaną podejrzliwością? Nie prowokuje jej wynik Dallasa Longa. Ani bramka strzelona przez Hamrına na trzy minuty przed końcem meczu Związek Radziecki-Szwecja. Bo wierzymy faktom. Drobnym, krótkim faktom. Choć nie mieszczą się one w naszym doświadczeniu. Choć leżą poza granicami naszego prywatnego świata. Wierzymy im, podejrzliwość swą rezerwując na okazję domysłów. Tych przede wszystkim, których nie potrafimy skontrolować. Owszem, możemy obmyśleć eksperyment. Taki, który domysł nasz potwierdziłby lub obalił. Lecz nie zdołamy go przeprowadzić. Zbyt wiele napotkamy tu przeszkód. Przeszkód praktycznej natury. Bo jakże zorganizować ligę piłkarskich reprezentacji Europy? A dopóki ich nie zorganizujemy, lista klasyfikacyjna, nasza lista, jest zaledwie przypuszczeniem. Dlatego? Tylko dlatego? Jest przecież jeszcze inny powód. Listę ogłasza się wówczas, gdy minął sezon. Późna jesień albo zima. Aby ją potwierdzić, trzeba więc cofnąć czas. Trzeba by go odwrócić. Powtórzyć raz jeszcze te same miesiące, które trwają dziś odarte ze swej pierwotnej zieleności, skonceptualizowane w naszej pamięci.

Lista klasyfikacyjna jest opisem. Lecz nie podlega pełnej kontroli. Nie sprawdzimy jej. Nigdy nie sprawdzimy do końca. Stąd nasze grymasy nad nią. Nad każdą z nich. Są to grymasy nad hipotezą. Hipotezą historyczną. Hipotezą, która odnosi się do wydarzeń już dokonanych, sztywniejących w czasie. W tym co nas trawi i co nas pożera.

Punch



Foto: E. Kudał

Kiedyś Cezanne spotkał człowieka, który siedział przy drodze i malował. Zatrzymał się i zapytał: „Co pan maluje?”. „To, co pan widzi.” — odpisał zapytany. Na to Cezanne znów zapytał: „A czy pan widzi, co pan maluje?”

Dobrze zacząć rzecz pisaną od jakiejś dowcipnej anegdoty, wtedy mamy pewność, że czytający doczyta rzecz do końca w oczekiwaniu na następny „bombowy” kawał. Ale, aby żart był żartem, trzeba co najmniej dwu osób obdarzonych poczuciem humoru. Jedna nie wystarczy. Podobnie jest z malarstwem, ze sztuką — też trzeba tu co najmniej dwóch osób obdarzonych zmysłem estetycznym, twórcy i odbiorcy, sztuka bowiem jest dialogiem, a nie monologiem...

— O mnie już nikt nie powie — mówi do mnie mój rozmówca, Krystyn Zieliński, że moje obrazy są malowane przez małpę ogonem...

— Dlaczego? — pytam, zaskoczony tym sformułowaniem.

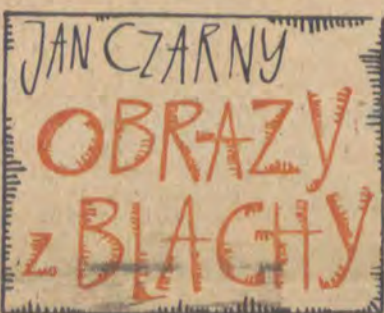
— To bardzo proste, moje obrazy są z metalu, z blachy, trzeba je lutować, spawać, nitować, patynować, a tego wszystkiego małpa nie potrafi...

Zie, oczywiście, kiedy artysta musi bronić się przed tego rodzaju niewybrednymi kawałami, malującymi, na przykład, problem wielkiego dorobku Picassa w dwóch słowach: „oko na kolanie”. Ale myślenie jest u nas jeszcze mało popularne, jak wiemy, a już szczególnie myślenie w obliczu dzieła sztuki, myślenie przed obrazem. Lepiej malować przy pomocy frazesu czy wątpliwej jakości dowcipu to, co wymyka się definicjom wielu uczonych i krytyków w wielu, wielu książkach i artykułach na przestrzeni wielu, wielu lat i co dopiero czas być może zweryfikuje.

— Maluje, aby siebie sprawdzić, zweryfikować, widzieć siebie, zrobić to, zanim zrobi to czas — mówi kolega Krystyn. — Widzieć siebie, w ogóle bardzo lubię to słowo — widzieć.

W tym właśnie sformułowaniu zawarte jest całe credo artystyczne, wcale nie proste do zanalizowania sztuki Zielińskiego.

Siedzę w jego pracowni, do której przyszedłem oszklonymi drzwiami z napisem — „światło”. Tak, oszklone drzwi to dla malarza problem światła. Szkło, w tym wypadku, jest światłem, to jest najistotniejsze. Ale jaką rolę odgrywa blacha z rozpru-



tych puszek, bejlerów i samowarów, której malarz używa w swoich obrazach zamiast farby i oleju? Jak ją nazwać? Nie jest to takie łatwe, odpowiedzieć na to pytanie. Mój rozmówca, nie należy do ludzi, którzy potrafia formułować problemy malarzkie poza obrazem, poza jego powierzchnią, na której rozgrywała się dramata jego najskrytszego wnętrza oraz dramaty rozprutej, rozdartej, palonej, nitowanej i pilowanej blachy.

Pracownia, pełna narzędzi z długim stołem, jak w warsztacie mechanizym, istotnie przypomina jednocześnie salę tortu i pracownię alchemika. Kiedy wszedłem, poczułem zapach kwasu solnego, używanego do patynowania i kąpienia blach. Okno zostało otwarte, ale problem, który mnie dręczył — nie.

— Aby coś powiedzieć, narwać, potrzebny jest element wyrazowy mniej umowny, mniej kapryśny, bardziej stabilny, niż farba, a więc metal, materiał nie przenoszący pojęć związanych z konwencjami historycznymi sztuki — mówi malarz — blacha metalowa lepiej spełnia to zadanie, niż

farba. Mimo użycia tego materiału, moje obrazy są nadal obrazami, wcale się tego nie wypleram. Są nawet nimi bardziej niż gdybym je robił farbą olejną. Poza tym blacha jest nośnikiem całych zespołów elementów ekspresji.

Patrzę na zawieszane na specjalnych hakach obrazy (są ciężkie) i muszę przyznać ich autorowi rację. Blacha natrzymuje działanie czasu w postaci rdzy, śladów i zagnieceń.

Te właśnie cechy blachy, po zmontowaniu takiego obrazu, zostają utrwalone specjalnymi sposobami, lakierem i woskiem. Chcę wyłowić jakieś wpływy, ale nie bardzo mi to wychodzi. BLACHY Zielińskiego przypomina w ogóle malarstwo współczesne, jeśli chodzi o poszukiwania formalne, to można stwierdzić z całą pewnością. Oczywiście „malarstwo” Zielińskiego materiałowo, jak już wiemy, jest zupełnie inne. Nie przypominam ono również tak zwanej metaloplastyki.

Pytam — ponieważ materiał, metal natrzyma takie skojarzenia — o możliwość przeniesienia, czy zastosowania tych doświadczeń w przemyśle, w projektowaniu, przecież Zieliński pracuje w szkole, w której wykładał kiedyś twórca neoplastycyzmu i znakomity urbanista Strzemiński. Ale Zieliński, nie tylko jako malarz, również jako rozmówca, ułama łatwizny.

— Nie mają one żadnego zastosowania jako sztuka użytkowa — stwierdza — służą tylko do oglądania. Tak jak każde malarstwo.

Nad stołem-warsztatem wisi piękne starożytne żelazko na desce, z brązu, i jeszcze piękniejszy czajnik również z żółtego metalu. To są cacka, a przecież są to rzeczy użyteczne, ba, zwykłe sprzęty kuchenne, a ile w nich gracji, ile wdzięku, jak w pięknych zwierzętach, jak w wymyślnych rzeźbach. Jest w nich zawarta dusza artysty — rzemieślnika. To sformułowanie już niemożliwe i banalne nasunęło mi może żelazko do prasowania właśnie „na duszę”... ale żarty na bok.

— Pańskie obrazy — mówię do Krystyna — są przecież nauka, co można wydobyc z materiału, jakie formy, jakie efekty, uczą dobrej roboty, materiał trzeba lubić i znać, ekspozować go, a nie ukrywać. Przecież pan sam powiedział, że nie przekłada panu strona techniczna, niekiedy dość uciążliwa, przypominająca trud spawacza, ślusarza, bo dzięki materiałowi i tej właśnie „trudnej” technice, może pan „łatwo”, najłatwiej oddać to, co pan ma do przekazania.

Prócz więc zawartej w nich treści, obrazy te mogą być szkołą dobrej pojętej stylowości, abyśmy nie robili ze stylonu koronek, a kwiatów z gąbki, abyśmy blachy nie malowali w stoję i sęki charakterystyczne dla drewna.

— A na koniec ciekawostka — mówi Krystyn Zieliński — europejskie CBWA nie chciało przyjąć moich obrazów na wystawę malarstwa, tłumaczył się, że to nie obrazy, bo nie ma w nich farby.

Wybuchamy obaj śmiechem.

Nareszcie śmiejący kawał na zakończenie — myślę już na schodach — a więc czytelnicy będą mieli satysfakcję. To prawda, że w „blaszanych obrazach” nie ma farby, ale mimo to są piękne i ciekawe, jak każde dzieło mądre i uczciwe. Nasyczone są miedzkim, tajemniczym kolorytem, nieznanym farbom olejnym, właściwym tylko blasze — i to właśnie jest niewątpliwą zdobyczą malarza Krystyna Zielińskiego.

EDWARD SZUSTER

Sztuka DOBRZE ZROBIONA...

Podział utworów scenicznych na tragedie, dramaty, komedie, farsy itp. jest chyba najpopularniejszy, najczęściej stosowany. Nie jest to jednak podział jedyny. Dla ludzi teatru na przykład warsztatowa jakość sztuki — kompozycja, role — mają często znaczenie istotniejsze niż jej przynależność do takiego czy innego gatunku literackiego. Takie zainteresowania doprowadziły do powstania swoistej klasyfikacji w której podstawą jest stopień opanowania warsztatu scenicznego przez autora; w konsekwencji pojawiają się także — szczególnie we francuskiej teatrologii — pojęcia „sztuki dobrze zrobionej” (piece bien faite).

„Marie-Octobre” zrobiona została aż przez trzech francuskich autorów i — przyznać trzeba — zrobiona została dobrze. Z pełną kompetencją i znajomością dramaturgicznego rzemiosła prowadziła do doświadczenia spóła swą sceniczną opowieść: umiejętnie zmiany nastrojów, sugestywne i przemysłane intrygowanie widza komplikującą się na jego oczach sytuacją, zaskakujące rozwiązania zagadki, wyraźne, określone, konkretne zadania aktorskie — to wszystko sprawia, że „Marie-Octobre” jest obciążającą partyturą dla reżysera i aktorów. Sumienne i inteligentne zrealizowanie tych wskazówek, które twórcom przedstawienia sugerują autorzy sztuki wystarczy do stworzenia interesującego spektaklu.

W Teatrze Nowym — mimo wszystkie emigracje — nie brak jest inteligentnych, doświadczonych i utalentowanych aktorów a debiutujący w roli reżysera Wojciech Piłarski tak zsynchronizował ich pracę, jakby od dawna już specjalizował się w tej dziedzinie. W rezultacie dobrze przez autorów zrobiona sztuka wcieliła się w dobrze zrobione przedstawienie, które na pewno z satysfakcją przyjmie widzownia. Pod warunkiem,

że nie będzie się ona składała z ludzi oczekujących szczególnie głębokich przeżyć intelektualnych czy estetycznych. Tych bowiem w „Marie-Octobre” szukać nie należy, a twórcy przedstawienia nie usiłują wprawiać widzownię, że jest inaczej.

Trzeba bowiem przypomnieć, że „sztuka dobrze zrobiona” wcale nie musi być sztuką mądrą, przejmującą, głęboką. Co więcej — najczęściej owe „dobrze zrobione sztuki” nie mają zbyt wysokiego lotu. Czemu? Chyba dlatego, że ich autorzy bardziej troszczą się o to „jak” opowiedzieć widzowi swoją historię niż o to „co” jest przedmiotem, tematem tej opowieści. Trzej francuscy współnicy rozpoczynają swą opowieść od bardzo interesującej i obciążającej sytuacji — zbierają na scenie grupę ludzi, którzy przed piętnastu laty stanowili jedną z grup francuskiego Ruchu Oporu. Jakiż to znakomity pretekst do analizy problemu i „śladów” jakie w życiu ludzi pozostawiły nienormalne przecię i dramatyczne lata podziemnej działalności. W „Marie-Octobre” ten problem nie zostaje jednak rozwinięty ani nawet zasygnalizowany; autorów pasjonuje przede wszystkim i wyłącznie wyjaśnienie pewnego tajemniczego epizodu sprzed lat piętnastu, epizodu, w który każda z postaci scenicznych była wplątana. Ten właśnie, prawie kryminalno-sensacyjny temat znajduje w sztuce swoje bardzo sprawne i umiejętnie rozwiązanie.

Nie mam za złe autorom „Marie-Octobre”, że nie napisali tego czego nie napisali; to co ich interesowało zrobili dobrze. Faktem jest jednak, że o ile należy ich chwalić za dobrą robotę to także wolno i należy stwierdzić niewielkie — ograniczone ambicje ich pisarstwa scenicznego. Nie mam jednak żadnych pretensji do Teatru Nowego, za to, że wprowadził na scenę tę sztukę. Nie ma teatru, który byłby w stanie grać jedno po drugim, wstrząsające, przeorywające duszę widza arcydzieła; o tych arcydziełach nie jest tak wiele, a zresztą, po to aby grać arcydzieła, trzeba zdobyć doświadczenie warsztatowe grając normalne, dobrze zrobione sztuki. Jest to i dla aktorów i dla reżyserów warunek niezbędny a i publiczności nie można stać le wstrząsać. Trzeba jej od czasu do czasu pokazać interesującą, dobrze napisaną i dobrze wystawioną sztukę. „Marie-Octobre” to wymaga spełnia w całej rozciągłości; nie ma powodu gromić, że weszła na afisz.



KSIAZKA O LESMIANIE

Jacek Trznadel jest znakomitym wydawcą tekstów Bolesława Lesmiana. Ofiarował nam dotąd SKRZICE LITERACKIE i UTWORY ROZPROSZONE tego poety. Niebawem — jak słyszę — otrzymamy pierwsze pełne wydanie wierszy Lesmiana, przez Trznadla przyrządzone. Ale Jacek Trznadel jest nie tylko wydawcą. Jest również historykiem literatury: PIW opublikował

ostatnio jego książkę TWÓRCZOŚĆ LESMIANA. Książka, godna niewątpliwie polecenia miłośnikom wielkiego poety. Kim był Bolesław Lesmian? Czy był jednym z wielkich symbolistów? Czy był poetą polskiego modernizmu? Czy też poetą, który nie mieścił się w żadnym z nurtów poetyckich naszego wieku, poetą, któremu przysługuje w literaturze polskiej — a i w europejskiej — miejsce wyjątkowe i odrębne? Odpowiedzi na to pytanie poświęcona jest książka Trznadla. Trznadel opatrzył tę książkę podtytułem „próba przekroju”. Wypada przeto wspomnieć, że ta pierwsza monografia Lesmiana nie jest jednak pierwszą próbą przekroju. W roku 1938 ukazała się bowiem książeczka Adama Szczerbiewskiego, zatytułowana BOLESŁAW LESMIAN. Była to również próba przekroju. Porównanie tych dwóch książek mówi wiele o przemianach metod krytycznych, jakie dokonały się na przestrzeni ostatnich trzydziestu

lat. I każde myśleć, mimo wszystko, z pewnym niepokojem, o losach poezji polskiej XX wieku. Jeden z największych poetów polskich doczekał się — w leż to już lat po śmierci! — zaledwie dwóch opracowań krytycznych. A co będzie dalej? I co będzie z innymi? ZK

CZY TO „KRYMINAL?”

Seria „Czytelnika” z jannikiem i pistoletem przynosi powieść Edny Ferber „Cimarron z Oklahomy”. Oto wreszcie porządny „kryminal” — chciałoby się powiedzieć, Powieść przygodowa, nasyciona poważnymi treściami. Wydaje się jednak, że owe znaki rozpoznawcze (jannik i pistolet) pełnią w tym wypadku funkcję zachęcającą opaski „Tylko dla dorosłych”. Niestety, gdyż i bez tego oczekiwania powieść znalazłaby licznych odbiorców. Edna Ferber, pisarka amerykańska, której pióro poznał-śmy przed wojną —

„Dziewczeta” („The Girls”) — autorka starszego pokolenia (ur. 1887 r.) — w tej powieści (napisanej w 1929 r.) ukazuje w sposób frapujący dzieje rodziny Cravatów, przede wszystkim Vanceya, prawnika i dziennikarza, poszukiwacza przygód, obrońcy Indian, człowieka, który stał się „nieodłączną częścią historii Południowego Zachodu”. Vancey wyznaje zasadę „czystej i jasnej polityki” i tej zasadzie wierzy jest aż do ostatniej godziny swojego życia. Równie ciekawą postacią jest żona Vanceya — Sabra, której przemiany obserwuemy z prawdziwą satysfakcją. „Tylko bardzo fantastyczne i nieprawdopodobne wypadki opisane w tej książce są prawdziwe — pisze autorka. Mam jednak nadzieję, że uchwyciłam coś z ducha, koloru, życia i zmian w tej niewiarygodnej wspólnotce... (historii stanu Oklahoma). Warto przeczytać!

T. M.

Edna Ferber, CIMARRON Z OKLAHOMY, TW

maczyła Anna Stanisławska, „Czytelnik”, 1964, str. 448, nakł. 20.250 egz. Cena zł 26.

OBRAHUNEK

Heinrich Böll, urodzony w Kolonii w 1917 roku, uchodzi obecnie za jednego z najwybitniejszych pisarzy zachodniowojennych średniego pokolenia. Dobrze w Polsce znany z licznych przekładów jego powieści, cieszy się powodzeniem czytelników i uznaniem krytyki, która widzi w jego dziełach krytyczny stosunek do przeszłości i teraźniejszości niemieckiej. „Billard o wół do dziesiątej”, który udało nam się zdobyć jeszcze na kłernaszu ksiązkowym, powstał w roku 1959, a akcja tej powieści dzieje się rok wcześniej (1958) w ciągu jednego dnia września. Autor opowiada o trzech pokoleniach rodziny niemieckiej na przestrzeni ostatnich lat pięćdziesiąt. Ostatnim z rodu jest Józef Fährmel, zarazem przedstawiciel powojennej generacji Niem-

ców, który próbuje zrozumieć, czym była przeszłość jego kraju i jakie spoczywają na nim obowiązki. Między innymi do jego zadań życiowych należy odbudowa opactwa św. Antoniego, które powstał jego dziadek, a zniszczył jego ojciec w czasie drugiej wojny światowej. Jaki sens ma odbudowa tego opactwa, zastanawia się wnuk Józef Fährmel, skoro znowu pojawia się w tym kraju duch zniszczenia i doprowadzi do katastrofy. Historia odbudowy opactwa posiada więc znaczenie symboliczne. Ukazuje działanie dwu sił w historii Niemiec: sił odrodzenia moralnego i politycznego i sił zniszczenia i agresji. Książka Bölla, napisana ciekawie i niebanalnie, zawiera nie tylko ocenę lat minionych, ale daje również obraz dzisiejszego życia w Niemczech zachodnich, co lekturze tej przydaje rumieńców palącej aktualności.

WIECZÓR DWÓCH KRÓLI

Szekspir prowokuje zazwyczaj scenografów albo do nadmiaru operowych dekoracji, albo do uproszczenia naśladownych — do budowania dekoracji na wzór dawnych autentycznych, prymitywnych scenek szekspirowskich. Tymczasem w teatrze im. Jaracza podnosi się kurlina i oczom ukazuje się piękny szaro-czarny gobelin otaczający polkoliste całą scenę. Potem, gdy się lepiej przyjrzy, okaże się, że to nie żaden gobelin, a po prostu namalowane na szarym płótnie grubymi czarnymi krechami wnętrza londyńskiego teatru. „Pod łabędziem” według starego rysunku de Witte z r. 1596: w głębi wejście wraz z kolumnkami, łóżko nad wejściem i dokoła proscenium, daszek i nad nim nagiwny łabędź.

Pomysł dekoracji Józefa Rachwałskiego jest zamierzony; mało tego że stanowią one świetne neutralne tło dla błękitnego kostiumu księcia Orsino, dla fioletów, czerni i bieleńców kłoboczek, rudo żółtych czerwieni chudziela Chudogęby czy krwistej barwy opończy blazna. To wnie, niemał fotograficzne przeniesienie rysunku na dekorację oraz zastosowanie ciągów na których zjeżdżały błyskawicznie na oczach widza napisy i elementy dekoracji, określające miejsce akcji — dają poza tym nieoczekiwany efekt artystyczny: z miejsca zasugerować widzowi atmosferę dowcipu, humoru i pysznej zabawy (zwłaszcza to krzesielsko księcia Orsino, wyskakujące — hokus-pokus — z podłogi), narzucając widzowi czysty komediowy stosunek do wszystkiego, co będzie się działo na scenie, tak jak zapewne narzucało inscenizatorowi, a może — co byłoby lepsze — wynikało z takiego właśnie zabawowego stosunku inscenizatora do tekstu tej komedii łącznie z jej konwencjonalnym dworskim warkłami milosnym.

Bo czyż można inaczej dzisiaj grać Szekspira, komedie Szekspira? Powieściopisarz i dramaturg amerykański William Saroyan powiedział, że „przyszedł czas gdy tłumy w ogóle będą się bawiły Szekspirem jako farsą, widząc w jego twórczości odzwierciedlenie przestarzałego typu człowieka próbującego przetrwać w społeczeństwie, pogodzić się z sobą i swoim losem”. Saroyan mówił tak o tragediach Szekspira. Jan Kott w swojej książce o Szekspirze jest pełen admiracji dla Jacka Woszczerowicza, który po raz pierwszy w dziejach teatru buduje rolę Ryszarda II (środkami komediowymi właśnie w tragedii).

„Wieczór trzech królów” jest komedią i gatunek ten oraz smakowicie dowcipna scenografia zobowiązują do równie lekkiej i dowcipnej interpretacji — jak się rzekło — całego tekstu komedii. Czy Teatrowi udało się zachować tę jednolitość tonacji? W dużej mierze tak — ale nie ze wszystkich, niestety. Najlepszym przykładem trafności takiej interpretacji tekstu jest postać i styl gry Alicji Zomer grającej Olivie. Aktorka ta umie podbudować komedijowy przebieg lirycznym humorem, zabawy, dając ciekawą dwujęzyczną konwencjonalną postać z konwencjonalnego wstępu milosnego ze sztuki Szekspira i zarazem bliski nam swój własny odaktorski zarobkowy stosunek do postaci i całej tej, umownie przebiegającej odbieranej, przebiegającej perypetii milosno-matrymonialnej. Podobnie utrzymuje się w tej tonacji Ewa Mirowska, Viola, pełna chłopcęgo wdzięku, cienie prowadząca subtelnym humorem

W. Karłowicz

Niech mi czytelnik wybaczy, że dziś zajmę się książką, która nie jest dostępna w języku polskim. Chodzi mianowicie o autobiografię Andersena pt. „Baśń mojego życia”, wydaną w Weimarze w przekładzie z języka duńskiego na niemiecki. Jest to nie tylko historia życia znanego na całym świecie bajkopisarza, jest to także historia tamtej epoki, widziana oczami człowieka bystrogo i wrażliwego, który wiele podróżował i spotykał się z wieloma wybitnymi ludźmi. Już pierwsze zdanie tej autobiografii jest wielce zastanawiające. Hans Christian Andersen tak bowiem zaczyna swoją książkę: „Moje życie jest piękną baśnią, piękną i nadzwyczaj szczęśliwą”. A potem następuje opis dzieciństwa, które było szare i smutne. Ojciec Andersena był szewcem i żołnierzem, matka o piętnaście lat od niego starsza — praczka, chętnie zaglądająca do kieliszka. Jedyną jasną postacią, opisaną później przez Andersena w bajce „Dziewczynka z zapalkami”, była jego babka ze strony ojca, która utrwaliła się w jego pamięci jako człowiek dobrego, przetrwałymi opowieściami osłaniający życie młodego chłopca. Andersen, urodzony w małym miasteczku Odense, nim stał się sławnym pisarzem, zaznał wszystkiego co ludzkie i nieludzkie. Jego autobiografia jest mieszaniną prawdy i zmyślenia i stała się tytuł „Baśń mojego życia”. Wspomnienia swoje doprowadził autor do r. 1855 a więc do połowy wieku dziecinności i połowy własnego życia, urodził się bowiem w 1805 roku. Nie osiągnął pełnoletności Andersen wybrał się do Kopenhagi, a potem podróżował po Europie odwiedzając Berlin, Wiedeń, Paryż, Rzym, Sztokholm i inne miasta. W Paryżu królowali wówczas Lamartine i Hugo, w Wiedniu — Jan Strauss (ojciec) i Franciszek Grillparzer, w Rzymie — Lorenzo Bartolini, w Hamburgu — Heinrich Heine. Wszystkich tych ludzi (pisarzy, muzyków, rzeźbiarzy) poznał Andersen osobiście, z Heinem nawet się zaprzyjaźnił, a jakiegoś czasu przebywał w londyńskim domu Dickensów jako gość autora „Opowieści wigilijnej”. Piękny to był czas. Wiek dziewiętnasty wierzył w siebie, wierzył w niezmierzanie w postępek, życie, rysowało się jako trwała niezłomna arka. Nie zamarłała wiarą powstania i rewolucji, przeciwnie: stanowiły dowód na siłę i siłę, który walką zbrojną poszerzał granice swego wolności.

W samej Danii były to lata rozkwitu kultury, literatury i sztuki. Epoka Andersena była także epoką Kierkegarda, zwiastuna tak modnej dziś filozofii egzystencjalnej, Grundwiga, teologa i historyka, twórcy uniwersytetów ludowych, Oehlenschlägera, najwybitniejszego romantycznego poety Danii, Thorwaldsena, wybitnego rzeźbiarza, twórcy pomników Kopernika i księcia Poniatowskiego. Jeszcze za życia Andersena rozpoczynała literacką działalność wybitny później krytyk i historyk literatury dziewiętnastego wieku, Georg Brandes, który odwiedził również Polskę i napisał

„Baśń mojego życia”

sał wielce interesującą książkę o naszym kraju i naszym piśmiennictwie.

Czas życia Andersena był więc czasem wielkich gwiazd na firmamencie europejskim, epoką wyjątkowo urodziną w wydarzeniu i moce dlatego autor niezapomnianych bajek, który miał szczęście żyć w owych latach, nazwał swoje życie „szczęśliwą baśnią”. Życie Andersena jest ciekawe od innej jeszcze strony. Był on pisarzem, który wielkie poladki nadzieje w swoich powieściach, wierszach i dramatach. Wiele miejsca w swojej autobiografii poświęcał opisowi dzieł powieści „Improvizator”, której przypisywał Bóg wie jakie znaczenie, a która przez krytykę przyjęła została raczej chłodno, choć tłumaczono ją nawet na język angielski. Andersen jak wielu przed nim i po nim, mylił się co do natury swego talentu. Utworzył, w które wkładał całą swoją pasję i ambicję, nie tylko rychło się zatarzały, ale w ogóle zostały zapomniane. Kto dziś wie o tym, że Andersen jest autorem dramatów i komedii, z których parę w swoim czasie było na-

wet wystawionych na scenie? Natomiast bajki i baśnie, do których sam autor nie przykładał zbyt wielkiej wagi, rozślawiły imię jego po świecie i zapewniły mu nieśmiertelność. Trudno sobie wyobrazić pisarza bardziej znanego, niż Andersen. Nie ma takiego zakątka na kuli ziemskiej, gdzie by o nim nie wiedzieli. Ktoż nie czytał „Brzydkiego kaczuszki”, „Nowych szat króla”, „Dziewczynki z zapalkami”, „Małej syreny”, „Królowej śniegu” i dziesiątków innych bajek. Ale na tych baśniach nie tylko nie poznał się sam autor, nie poznali się również krytycy i czytelnicy publiczności. Wszyscy uznali, że są to bajeczki wyłącznie dla dzieci. A tymczasem w równym co najmniej stopniu bajki Andersena mogą być czytane przez dorosłych. I są zresztą czytane, przerabiane na scenę, komentowane. Niektóre z nich, jak na przykład ta o „nagim królu”, stała się inspiracją do napisania sztuki Szwarca o takim właśnie tytule.

Andersen kończy swoją autobiografię słowami: „Szczęście i otwarcie, jak w gronie umiłowanych przyjaciół, opowiedziałem baśń mojego życia”. Zdumiewająca autobiografia. Aż dziw, że nigdy nawet we fragmentach, nie opublikowano jej po polsku. A przecież Andersen ukończył ją 2 kwietnia 1855 roku, dołączył do pięćdziesiąt rocznic swoich urodzin czyli więcej niż przed wiekiem. Po śmierci bajkopisarza (zmarł 4 sierpnia 1875 roku mając lat siedemdziesiąt) napisano o nim tysiące wspomnień i artykułów. Może jednak najtrafniej i najładniej ujął istotę sprawy duński krytyk Erling Nielsen. Napisał on: „Tajemnica Andersena jako człowieka i pisarza jest w tym, że szedł własną pewną drogą, a dala od wszelkich zwycięstw i klęsk świata. Dlatego pozostał on dla wszystkich pisarzy wielkim przykładem.”

W Polsce ukazał się przed laty zbiór jego „Baśni” w trzech tomach. Czas byłoby pomyśleć o wznowieniu ich, bowiem dawno już zostały wyczerpane. Dobrze byłoby również pomyśleć o przyswojeniu naszemu językowi omówionej tu autobiografii, która jest znakomitą dopełnieniem i ukośnieniem twórczości najdziwniejszego, ale zarazem i najpiękniejszego pisarza świata.

Jan Kłopotowski

POLONICA

JESZCZE O „SZKICACH O SZEKSPIRZE”

W „Die Welt der Literatur” z 30 kwietnia br. ukazała się recenzja o książce Jana Kotta o Szekspirze, którą wydano w NRF pt. „Shakespeare heute”. Tytuł recenzji: „Szekspir, nasz współczesny”, podtytuł: „Zdumiewające interpretacje z Polski”. Autor recenzji, Franz Bühler, pisze między innymi: „Książka warszawskiego profesora literatury, Jana Kotta, która znana jest już w przekładach francuskim i angielskim, ukazała się w porę i u nas. Nie tylko jako uczczenie 400-lecia urodzin Szekspira, lecz także jako bodziec do kulturalnych i politycznych przeobrażeń. Jest to zarazem apel do naszej bezduszności i naszego sumienia teatralnego.”

ROŻEWICZ W ANTOLOGII

W NRF opublikowano antologię noweli światowej pt. „Stories der Welt”, zresztą niewielkiej objętości, zawierającej kilkanaście wybranych opowiadań współczesnych pisarzy z wielu krajów. Z polskich autorów uwzględniono nowelę Tadeusza Różewicza pt. „Spowiedź” (Die Beichte), która ukazała się w tłumaczeniu Armina Drossa. Warto dodać, że z pisarzy radzieckich figuruje w antologii Konstanty Paustowski, autor znanych i u nas wielu krótkich, subtelnych opowiadań.

MROZEK WE FRANCJI

Oczywiście mamy na myśli nie pobyt Mrożka we Francji, lecz zainteresowanie dla jego opowiadań i dramatów, które opublikowane w książce, obudziły na rynku francuskim duże zainteresowanie. Ukazało się kilka znakomitych recenzji, podkreślających oryginalny talent tego pisarza. Można bez obawy powiedzieć, że Mrozek jest bodaj jednym lub jednym z niewielu naszych pisarzy, którzy cieszą się tak ogromnym zainteresowaniem w innych krajach, zwłaszcza u krytyków i bardziej oświeconej części czytelników.

Listy Czytelników

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE,

Upieram się prosić o wydrukowanie w Pańskim tygodniku poniższego listu.

Dnia 12 maja br. w Teatrze Powszechnym miało się odbyć zgodnie z planem, przedstawienie „Romeo i Julia” Szekspira. Miałoby się odbyć, ale przedstawiciel teatru obwieścił przepięknie widowni, że spektaklu nie będzie z powodu NIEOBCENOSCI aktorów. Aktorka, która zatrzymała w stołce nieznaną widom okoliczność okazała się p. Pola Raksa, studentka V roku Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi. Nikogo z nas nie obchodzi absolutnie sprawy osobiste p. Poli Raksy, które uderzały jej przyzwykłe na czas do Łodzi, my, widzowie, mamy natomiast uzasadnione prawo żądać od ludzi sztuki wypełniania ich obowiązków. Tym bardziej, że dotyczy to przedwczesnej widać, niedojrzałej społecznie i nieodpowiedzialnej artystycznie adeptyki. Groza artysty, kiedy się po-

tem sobie, mieszkam niedaleko, mogę zająć do teatru kiedy indziej i poza kilku godzinami straconego czasu (które mi go zwrócić) i małym atakiem furii nic mi się nie stało. Na sali znajdowały się jednak wyściełki spoza Łodzi, m. in. z Tomaszowa. Nie leżąc stracił materialnych, kto potrafi zrownoważać tym ludziom zawiedzione nadzieje i złudzenia, zmarł wany wieczór, ba, wieczór z Szekspirem? Gdybym miał magnesofon, chętnie bym nagrywał burzliwe komentarze opuszczających salę i przelał ich na p. Poli Rakse. Powiedźmy — w dzień, miejmy nadzieję, pomyślnych egzaminów. Mówiono mi, że ostatnio zrywa się w łódzkich teatrach spektakle. Nie wiem, jak często, nie wiem, czy przyczyną usprawiedliwiają takie decyzje. Wiem natomiast doskonale, że w teatrze od setek lat obowiązuje żelazna dyscyplina, której przestrzegali i przestrzegają nadal najwięksi aktorzy. Że zawód aktora wymaga tego samego stopnia samodyscypliny i poczucia obowiązku, co zawód lekarza. To wchodzi w skład etyki, pięknej etyki aktorskiej.

Jeśli p. Pola Raksa prowadzi coś w rodzaju intymnego dzieńnika, to pozwól sobie wkleść stroniczkę z dwoma przypomnieniami:

1) Łódzka szkoła aktorska założyła w 1945 roku Aleksander Zelwerowicz, który posiadał m. in. rzadki dar Surowej Obowiązkowości był bowiem Miśtrzem i Przyjacielem Punktualności;

2) Na tej samej scenie, na której w sez. 1967/1968 ma zaszczepić występować Pola Raksa, grał również Aleksander Zelwerowicz.

Miłośnicy teatru ufają, iż otrzymają niebawem sensowne wyjaśnienia po do cytowanego przypadku; od p. Poli Raksy i od Dyrekcji Teatru Powszechnego.

Miłośnicy teatru życzą wstępującemu aktorom akustycznych snów z zelwerowiczowskim budzikiem.

Zasepony
STANISŁAW KASZYŃSKI



Olej

Jerzy Krawczyk

-spektakle tygodnia

FILM
POLONIA — „Latający profesor” 11.250 widzów
WOLNOŚĆ — „Tajemnice Paryża” 9.205 widzów

TEATR
POWSZECHNY — „Romeo i Julia” 4 spektakle 2.336 — 87%
„Szkoła obywateli” 1 spektakl 500 — 76%
NOWY — „Maria Stuart” 1 spektakl 711 — 100%
„Marie Octobre” 5 spektakli 2.300 — 85%
JARACZA — „Wieczór Trzech Królów” 3 spektakle 1.200 — 60%
„W pustyni i w puszczy” 2 spektakle 1.150 — 90%
7.15 — „Odyżard 6.53” 4 spektakle 1.430 — 59%
„Gość z kosmosu” 2 spektakle 608 — 68%
OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu” 5 spektakli 4.087 — 97%
OPERA — „Damy i Huzary” 1 spektakl 711 — 100%
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny, 2 koncerty 840 — 57%

Cyfrы procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.



myśli, że tak niefrasobliwie poczynają sobie aktorka u progu kariery scenicznej, łamiąc w ten sposób również zaufanie dyrekcji, która powierzyła jej bardzo poważną rolę.

Byłem jednym z wielu srodze zawiedzionych widzów i potentia; ostatecznie, myśla-

